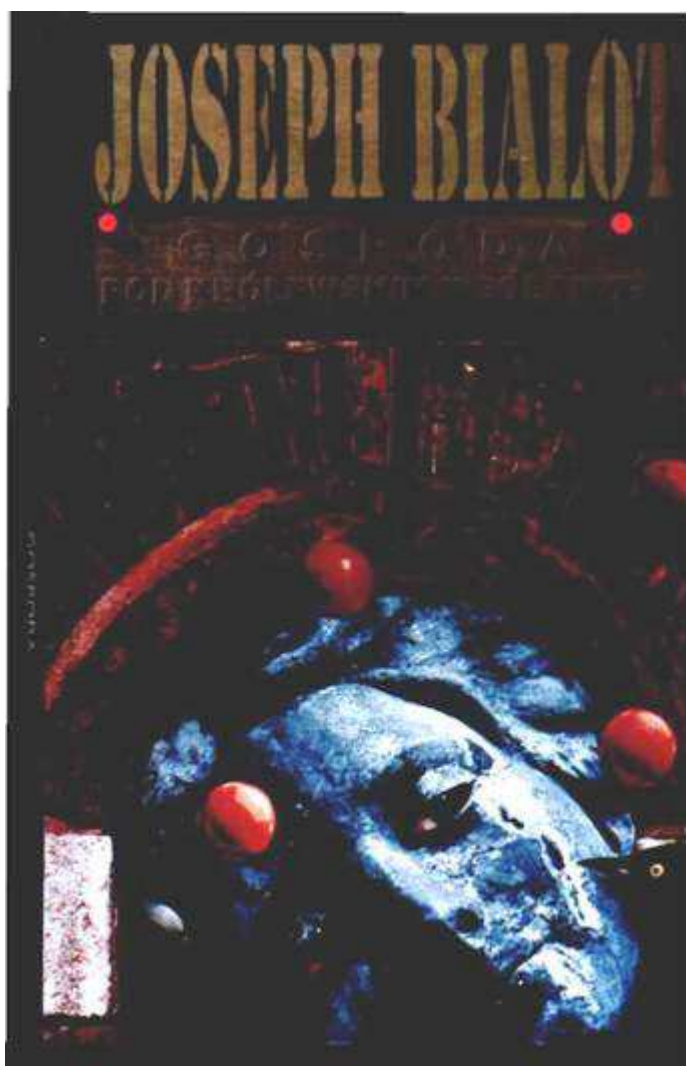


# JOSEPH BIALOŃ

G. O. G. O. P. A.  
FORTEGŁEWSKI PRZEDSTĘP



# JOSEPH BIALOT

G O S P O D A  
P O D K R O L E W Y K I M W E G L A R Z E M

Przekład

Barbara Mierzwicka



ORBITA

Projekt okładki:

*Maciej Sadowski*

Redaktor prowadzący:

*Taida Zaluska-Szopa*

Redaktor:

*Elżbieta Nowicka*

Redaktor techniczny:

*Andrzej Tyczyński*

© Éditions Gallimard, 1990

© Copyright for the Polish edition by „Orbita”, Warszawa 1993

„ORBITA” Spółka Wydawniczo-Poligraficzna z o.o.

00-251 Warszawa,

ul. Jaworzyńska 11 m. 7

Warszawa 1993 r.

ISBN 83-7034-085-7

## ***Rozdział I***

- *Rien ne va plus!*

Wszystko ucichło. Pietro Chiglione słyszał tylko, jak kulka z kości słoniowej toczy się ku jednej z numerowanych przegródek ruletki.

- *17, noir, impair et manque!*

Grabki krupiera wykonały swoje zadanie i zgarnęły stosiki żetonów ustawione na zielonym suknie.

A więc przegrał.

Pietro stale obstawiał zero.

W kasynie kłębił się wakacyjny tłum i sala gry przypominała metro w godzinach szczytu. Tyle że tutaj pachniało kremem do opalania, letnim skwarem, urodą złotobrazowych ciał. Byli tu wszyscy. Ci, którzy marzyli o rozbiciu banku, i ci, którzy myśleli tylko o tym, by przegrać, ludzie ryzykujący wysokie stawki i niedzielni masochiści, którym wreszcie nadarzyła się okazja zaspokojenia swych namiętności w towarzystwie. Bo czy nie jest prawdziwą przyjemnością patrzeć na spadające w niebyt kupki żetonów? Grali wszyscy. Nie bawił się nikt.

Pietro skinął głową na pracownika zmieniającego pieniądze i podał mu swój ostatni plik stufrankówek.

Stojąca naprzeciw wysoka blondynka o wydatnym biuście nie spuszczała z niego oczu.

Kulka rozpoczęła nowe okrążenie.

Teraz Pietro obstawił jedynekę.

- *32! Rouge, pair et passe!*

Przerwa.

Zgarnął oburącz swoje żetony i poszedł do baru. Należało przerwać złą passę.

- Chivas.

Pietro stanął przy wielkim, wychodzącym na morze oknie. Z lewej strony lśniły czerwone i zielone światła przystani. Przez uchylone okno dobiegał szum bijących o brzeg fal. Kostka lodu grzechotała w szklance. Powoli wypił alkohol i wrócił do gry.

Przeliczył pieniądze jak rasowy hazardzista. Zostało mu sześć i pół tysiąca franków w żetonach i osiem stu frankowych banknotów w portfelu.

Fagas podał mu ogień, gdy podniósł papierosa do ust. Podziękował skinieniem głowy i przysiadł się do innego stołu.

Teraz gra nabrała nowego znaczenia. Rzuci na sukno nie tylko pieniądze. Przy każdym żetonie będzie szło o jego wolność, a nawet życie. Jeśli przegra...

Blondynka również zmieniła stół. Spojrzał na nią obojętnie. Każdy gracz wie, że pożądanie odczuwa się dopiero po skończonej partii. Silne i gwałtowne jak jego dzisiejsza gra. Westchnął. Tak, jeśli przegra... będzie musiał przyjąć tamtą propozycję. Zresztą Marsylczyk również nie zgodzi się czekać na forszę dwadzieścia lat.

Pietro pchnął żetony w stronę krupiera i obstawił.

- *17, carrés et chevaux* i jeszcze tysiąc franków na środkową dwunastkę.

Grabki przesunęły żetony.

Kulka się toczyła, bęben obracał. Nagle, w ogólnym rozgardiaszu, zapadła cisza.

- *17, noir, impair et manque.*

Wygrał. Był w centrum uwagi. Wpatrywały się w niego oczy wszystkich. Grabki, niczym czarodziejska różdżka, pozwoliły mu zaistnieć na nowo: znów stała przed nim piramidka żetonów. Dym z papierosów wędrował do góry wśród szumu klimatyzatora.

Rzucił na stół pięciusetfrankowy żeton jako napiwek. Niczym echo odpowiedział mu głos krupiera:

- Dziękuję w imieniu personelu!

Blondynka obeszła z uśmiechem stół i przystanąła obok Pietra.

Była dziesiąta. Obstawiał, przegrywał, wygrywał.

Dwadzieścia minut po północy wyciągnął swoje ostatnie stufrankowe banknoty i zmienił je na żetony.

Stracił wszystko.

Dwadzieścia dwie minuty po północy blondynka wyszła.

\*

Z pustką w głowie i uczuciem rozbicia Pietro tkwił przy stole, niezdolny do najmniejszego ruchu. Wypalił ostatniego papierosa i wyszedł z kasyna.

\*

Ze swego hotelowego okna spoglądał na pustą teraz ulicę. Jego długie ciało osunęło się na łóżko. Sięgnął po telefon i wykręcił numer.

Po drugim sygnale ktoś się zgłosił.

- Tak?

Bez przedstawiania się, bez żadnych wstępów powiedział:

- Zgoda. Kiedy?

- Przyjdź do mnie zaraz po powrocie.

- Świetnie, ale przyślij mi zaliczkę na koszty podróży. Dobrze, że na wszelki wypadek zapłaciłem za hotel tuż po przyjeździe.

- Rozumiem. Znów się splukałeś?

Wzruszył ramionami i nic nie odpowiedział.

Głos z drugiej strony nalegał:

- Halo... halo!

- Tak, słucham.

- Wysłałam ci dwa tysiące franków. Sądzę, że wystarczy na opłaty za autostradę i benzynę?

Bardzo wolno odłożył słuchawkę.

## *Rozdział II*

Poznają mnie państwo? Nie? A ja łudziłem się, że jestem sławny...

Cóż, muszę się przedstawić: Didier Valois. No wiecie, ten aktor, lat trzydzieści osiem, urodzony w Gramat w departamencie Lot. Grałem pierwszą drugoplanową rolę w telewizyjnym programie „Zabierzcie go ze sobą”. Ponadto: jestem bezrobotny od czasu, gdy pokłóciłem się ze sponsorem wspomnianego serialu. Podobno obraziłem tego szoguna, mówiąc o nim: „Za cokolwiek się ten facet weźmie, wszystko przejaskrawia”.

Uff! Co za szczęście powrócić do Paryża i znów być klientem Państwowego Urzędu Zatrudnienia...

Kiedy mnie wyrzucono z pracy, mój impresario, Loïck Schwartz, znalazł mi rolę w ponurej sztuce Strindberga. Wracam tedy z tournée po prowincji, bo znowu mnie wylano - tym razem na skutek nieporozumień z dyrektorem zespołu i reżyserem w jednej osobie.

Georges Altman, zapomniany dziś dziennikarz, twierdził, że film wtedy jest najlepszy, gdy może go obejrzeć głuchy, natomiast najlepsza sztuka to taka,



której może wysłuchać niewidomy. Ale dla geniusza przygotowującego nasz spektakl liczyła się tylko reżyseria. Tekst? Miał go w nosie. Teatr to dla niego gra świateł, wodotryski, żałobne pienia i pusta widownia. Za to prasa się nad nim rozpyływała! Nie dało się dłużej pracować z tym beztalenciem.

A więc jestem w Paryżu... Mieszkanie jest lodowate i puste, jakby czekało na mój powrót, żeby się ogrzać.

Przy telefonie mruga czerwony sygnał automatycznej sekretarki. Zobaczymy, jakie wiadomości... Nic ważnego... Kumple. I Maria. To już mniej banalne, ale może poczekać. Nie lubię, kiedy się na mnie rzucają, ledwo wrócę. Aha, to coś bardziej interesującego. Telefon od Loicka. Rozwlekły jak zawsze: „Mój drogi Didier, a jednak przyjacielu. Pakuj manatki i przyjeżdżaj do mnie do Awinionu. Jean-Paul Tiret złamał nogę podczas prób. Bierzesz jego rolę. Zagrasz Savonarolę w *La terre est ronde*”.

Nadają się do grania w sztukach Salacrou jak arcybiskup Lustiger do tańczenia lambady. Nie ma mowy o żadnym nowym wyjeździe. Brak mi Marii. Telefonuję do Awinionu i tłumaczę rozwścieczonemu Loickowi, że nie przyjadę.

- Wracam pojutrze - mówi. - Spotkajmy się o piątę w Gospodzie pod Królewskim Węglarzem.

Bardzo lubię Loicka Schwartza, to dobry kumpel. Ciekawy facet, syn polskiego Żyda i bretońskiej katoliczki, trochę z Brestu, a trochę z Brześcia, amator wódki pół na pół z muskadem, z domieszką

czegokolwiek, byleby paliło w gardle. Ale gdy wypije, wystarczy za dwóch. Dusza anielska w czerepie rubasznym. Co więcej, jesteśmy prawie sąsiadami. Loïck mieszka przy ulicy de la Convention koło mostu Mira-beau, dwa kroki ode mnie. Zobaczę się z nim, kiedy wróci.

Na razie sprawdzam, co z najbliższymi sąsiadami. Philippe'a Baretta, zwanego Neuronem, jeszcze nie ma. Jest zajęty przygotowaniem do corocznego wyjazdu na kolonie z kupą dzieciaków, raczej nie kochanych niż kochanych. No właśnie... Czy znacie dzieci kochane? Czy już powiedziałem, że Loïck jest profesorem literatury w liceum?

Kobieta jego życia, Ofelia, psycholog z zawodu, siedzi w domu sama i pisze jakieś sprawozdania. Rzuca mi się na szyję. Boże, co za biust! Coś niesamowitego, z takim przedsięwzięciem na pewno płaci za dodatkowy bagaż, kiedy podróżuje samolotem. Cofam się ostrożnie. Ta dziewczyna uwielbia wprawdzie Neurona, ale wpada w trans na widok każdych spodni. Nie ma rady, tak to już jest, ale bardzo ją lubię.

Gadamy, plotkujemy. Proponuje mi herbatę, jest przecież dobrze wychowaną panią, która skończyła pensję u zakonnicy w okolicach Villefranche, gdzie jej ojciec jest rzeźnikiem.

Na parterze nasz dozorca Manolo wręcza mi pocztę. Te same papierzyska co zawsze, rachunki za telefon, gaz i elektryczność oraz sześć różnych ulotek z zawiadomieniami, że wygrałem główną nagrodę. Jaką

główną nagrodę? Nie mam pojęcia, ale muszę natychmiast odesłać kupon i czekać trzy miesiące na następny. Jeszcze gorzej niż w telewizji. Z kina wychodzisz z Bogartem w głowie i Fredem Astaire'em w nogach. Teatr opuszczasz ze łzami króla Leara w oczach lub rozpaczą Shylocka w sercu. Z telewizji wracasz z paczką herbatników, samochodem i grosem prezerwatyw na upojne noce. Czytelnikom „Liberation” wyjaśniam, że *gros*\* nie dotyczy rozmiarów, ale ilości. Od kiedy dzieciaki w szkole mają kalkulatory, nie wiedzą, że gros to dwanaście tuzinów. A wszystko to wygrześć, odpowiadziawszy na pytanie dnia: Kto był ojcem Ludwika XIV? Od czasów rzymskich nic się nie zmieniło: zawsze szło o chleb i igrzyska.

\* *Gros (fr.)* - duży, gruby.

Aha, list od Marii, mojej wieloletniej przyjaciółki i damy mego serca, która wyszła za mąż, nieszczęśliwie zresztą, za adwokata.

Maria pisze, że ma kłopoty, i dodaje, że nie mogła mnie złapać telefonicznie. Wziąwszy pod uwagę łączące nas stosunki, myślę, że rozumiem, co ją trapi: małżonek. Natychmiast do niej dzwonię. Kochałem się w niej na zabój, kiedy byliśmy w szkole teatralnej. Życie nas rozdzieliło... Jak w powieści, mniejsza o to. Spotkaliśmy się przypadkiem cztery miesiące temu i wszystko zaczęło się na nowo. A nawet lepiej, gdyby to słowo coś znaczyło w naszym romansie. Maria twierdzi, że mnie kocha. Wierzę jej.

Pięć sygnałów, dziesięć. Nikt się nie zgłasza. Odczekuję pół godziny. Znowu dzwonię. Ani słychu, ani widu. Wpadnę do niej jutro.

W tym momencie zjawia się Neuron. Zawsze ten sam, z ciepłym uśmiechem. Umawiamy się na drinka w Gospodzie pod Królewskim Węglarzem, naszej ulubionej knajpce.

\*

Gospoda pod Królewskim Węglarzem, ostatnie prawdziwe bistro w stolicy.

Wprawdzie w Paryżu zostało jeszcze parę staroświeckich kawiarenek, ale na fasadzie się to kończy. W środku jest już nowoczesny wystrój, stoliki z plastiku udającego plastik, zimne światło. Nawet właściciel udaje tylko Owerniaka, a urodził się w pobliżu placu Bastyllii.

Tu rzecz ma się całkiem inaczej. To jedno z nielicznych w Paryżu miejsc, gdzie człowiek ma wrażenie, że się nie starzeje. Czas się tu zatrzymał, jakby urzeczony lśniącościami stolikami z orzecha na czarnych, żeliwnych nóżkach i wielkim, półokrągłym kontuarem, o który można się wygodnie oprzeć. Na ścianach, oprawione w szkło, wiszą reklamowe plakaty zachwalające trunki, które przeszły już do legendy: Clacquesin, Kina i Byrrh, produkowane w Thuir we wschodnich Pirenejach. Wszystko tu jakby zastygło pod olbrzymim żyrandolem z kutego żelaza, w którym tkwią

cieple żarówki, a nie lodowate rurki rozsiewające widmowe światło. Nie, pod Królewskim Węglarzem nic się nie zmieniło - ani meble, ani jadłospis, ani kelnerki. Jediną oznaką, że czas jednak płynie, są stopniowo rosnące ceny.

Za ladą stoją Fernand i Cécile, właściciele. Dziadek Cécile, założyciel dynastii, miał bistro, do którego przylegała szopa pełna drewna, drzazg na rozpałkę i węgla. Był prawdziwym węglarzem rodem z Saint-Flour, jak trzeba. Po lewej stronie witryny dotąd widnieje napis: „Wina i Węgiel”. Po prawej zaś czytamy: „Domowa kuchnia, wina i sery”. Ciekawe, że szyld wymalowano drukowanymi literami: GOSPODA POD KRÓLEWSKIM WĘGLARZEM.

Fernand nalewa mi szklaneczkę cornasa, mego ulubionego, nie znanego snobom wina z Syrah. Ofelia i Neuron piją bonnezeaux, białe wino z Anjou, delikatne jak młoda dziewczyna.

Godzina siódma. Klientela obiadowa i urzędnicy z pobliskich biur wrócili już na swoje przedmieścia. Paryż należy do nas. Bistro się zapełnia. Sami starzy bywalcy, ludzie z dzielnicy, wszystkich znam. Ze stojącego na ladzie tranzystorowego radia Fernanda cicho sączą się wiadomości. Na początku relacja o pierwszych wyjazdach na wakacje i pierwszych korkach w tunelu Fourvières w Lyonie.

Wokół mnie wszyscy popijają. Dozorca Manolo i policjant Martwy Byk. Nikt nie zna jego prawdziwego nazwiska. Nazywamy go Martwym Bykiem, a on nie protestuje. Przewisko wzięło się stąd, że wlepił kiedyś

mandat - za nieokazanie dokumentów - motocykliście leżącemu na jezdni martwym bykiem, jak to określił. Trzeba dodać, że nieszczęśnik walczył ze śmiercią i guzik go obchodziło prawo jazdy. Do stałych bywalców należy też Kautski, uciekinier z Polski, którego Neuron, ku czci Lenina, nazwał Renegatem. Ponadto jeszcze dwie lub trzy osoby, z którymi witam się skinieniem głowy i zamieniam parę słów tylko wtedy, gdy coś się dzieje.

Od czasu do czasu przyłącza się do nas Jean-François, pisarz, autor słynnej maksymy: „Pisarz to człowiek, który pisze, autor to człowiek, który podpisuje”.

Jeśli o niego chodzi, problem polega na tym, że lepiej zrobiłby podpisując, niż pisząc. Ale nikt nigdy nie ośmielił mu się tego powiedzieć.

Aha, zapomniałbym o Nyży! Moim kumplu, starym Nyży... Ile ma lat? Trudno powiedzieć. Może siedemdziesiąt pięć, a może sto... Jakie to ma znaczenie? Jest pamięcią dzielnicą, jak mówi Fernand. Ten facet miał się różnych zawodów, lepszych i gorszych, miał nawet kosztowną chińską restaurację, zanim znalazł swoje prawdziwe powołanie: został masażyście na Vélodrome d'Hiver. Tak że nie ma co, warto posłuchać Nyży, kiedy zbierze mu się na zwierzenia i rozprawia o nogach Jeffa Scherensa, kolce nerkowej Luciena Micharda czy uwodzicielskim spojrzeniu Guya Lapébiego.

Oto paczka z Gospody pod Królewskim Węglarzem, do której, oczywiście, dołącza mój ulubiony impresario,

Loïck Schwartz, kiedy jest w Paryżu. Gawędzimy sobie. Jest gorąco. Druga kolejka. Wtem... grom z jasnego nieba! Z nastawionego na program informacyjny radia pada wiadomość, od której robi mi się zimno: „Mecenas Frédéric Cheney, paryski adwokat, nie żyje. Został zamordowany na klatce schodowej swego domu. Mordercy lub mordercom udało się zbiec. Policja poszukuje świadków”.

Nikt nie zauważył, że zbladłem. Frédéric Cheney to mąż Marii, mojej ukochanej.

### ***Rozdział III***

Brama więzienia zamknęła się bezszelestnie za młodą kobietą.

Colette Chiglione postawiła torbę na ziemi, oparła się o mur i spojrzała na jego kamienne zwieńczenie. Nareszcie widziała je od zewnątrz!

Czekała na tę chwilę jedenaście miesięcy. Jedenaście miesięcy przebywała w areszcie tymczasowym: „Podejrzana trzeba aresztować, aby mogła się ujawnić prawda” - powiedział sędzia.

„Ujawnić się? A może nawet wyjść na ulicę?” - myślała. Jedenaście miesięcy wykreślonych z życia, czterdzieści pięć tygodni samotności, których nigdy nie zapomni. Podobnie jak sędziego, zasłaniającego się swymi aktami, żandarmami, kodeksami i wewnętrznym przekonaniem.

Nie miał przeciwko niej żadnego dowodu. Niczego. Ale trzymał ją za kratkami, aby ujawnić ową słynną prawdę. Ludzie rodzą się wolni i równi wobec prawa. Tak, rzeczywiście, ale nie wszyscy naraz, w jednym czasie i miejscu. Sędzia chciał dostać w swoje ręce Pietra, jej męża.

I trzymał ją za wysokim murem niczym w puszcze od



konserw, jak ogórek w słoju, mając nadzieję, że Colette szybko się załamie, bardzo szybko. Wszystko było w robocie: groźby, szantaż.

- Proszę pomyśleć o swoim dziecku, o tym małym chłopczyku, droga pani.

Jakby nie myślała o swoim Rogerze o każdej porze dnia i nocy!

- Niech nam pani powie, gdzie ukrywa się Chiglione, a natychmiast panią zwolnimy.

- Nie wiem, gdzie on może być! A nawet gdybym wiedziała, to i tak bym panu nie powiedziała. Ale ja naprawdę nie wiem, gdzie obecnie przebywa mój mąż.

- Nie chce pani mówić? No cóż, jestem cierpliwy, poczekam.

Ona także była cierpliwa. Poczekwała jedenaście miesięcy i sędzia ją wypuścił.

\*

Ulica. Paryska ulica w lipcowy poranek ze swymi zapomnianymi odgłosami, ruchem, zapachami. Nie czuć już stęchłego odoru celi, nie słyszać ukradkowych szepców.

Colette Chiglione głęboko zaczerpnęła powietrza. Zatrzymała je w sobie przez kilka sekund niby dym pierwszego, zapalonego po chorobie papierosa.

Wyjęła z torebki paczkę gitanów.

Stała przez chwilę nieruchomo, z głową spowitą błękitnym dymem, który wydmuchiwała nosem.

Podszedł do niej policjant z wartowni.

- No co, nie możesz się zdecydować? A może wolisz tam wrócić?

Opanowała nagły przyływ pogardy. Dlaczego zwracał się do niej *per ty*? Dlaczego miał się za kogoś lepszego ten trzeciorzędny stróż prawa i porządku, przeciwko którym nigdy jeszcze nie wykroczyła, a których teraz nienawidziła? Tak, największymi buntownikami stają się niewinni więźniowie. Zresztą winni także. Prawo mówi o „pozbawieniu wolności”. Ale żaden kodeks nie nakazuje traktować podejrzanych jak podludzi. Do przeszłości należą „lettres de cachet”, królewskie nakazy uwięzienia. Czyżby? A uprawnienia sędziego śledczego to niby co?

Poszła w stronę bulwaru Saint-Jacques. Jakaś tak-sówka zatrzymała się obok. Z uśmiechem potrząsnęła przecząco głową. Czuła potrzebę ruchu, jej nogi musiały sobie przypomnieć odległości, a zapomnieć o niecałych trzech metrach stanowiących długość jej celi.

Na placu Denfert-Rochereau usiadła na tarasie kawiarni i zamówiła podwójną czekoladę z rogalikami.

Uśmiechnął się do niej przechodzący mężczyzna. Odwróciła głowę i spojrzeniem poszukała adresatki uśmiechu. Ale nie zobaczyła nikogo. A więc to do niej? Colette podeszła do lustra w głębi kawiarni. Ależ... tak, jeszcze można było się do niej uśmiechać. Po długiej przerwie znów ujrzała wysmukłą sylwetkę trzydziestolatki, jasne włosy, mały, prosty nos, prawie szafirowe,

szeroko rozstawione oczy, okrągłe policzki i ładnie zarysowany podbródek.

- Phi! Po świecie chodzą miliony takich kobiet. Ale uśmiech nieznajomego podniósł ją na duchu.

Kiedy wróciła na taras, przy sąsiednim stoliku siedziało dwóch mężczyzn. Wypiła czekoladę, zapłaciła i wstała.

Bez pośpiechu skierowała się ku postojowi taksówek przy stacji szybkiego metra.

Jakaś dłoń zacisnęła się na rączce jej torby. Stali za nią dwaj mężczyźni z kawiarni. Niższy puścił torbę i ujął ją za łokieć.

- Czego chcecie?! Zwariowaliście?!
- Spokojnie, mała, spokojnie. Nie zrobimy pani nic złego.
- Jesteście z policji?
- Niezupełnie. Chcemy tylko z panią porozmawiać.
- A o co chodzi?!
- Nie tutaj, proszę z nami.
- Ani mi się śni!
- Chcemy porozmawiać o Pietrze... dla jego dobra.

Skinieniem głowy wskazał ruszający z chodnika samochód.

Chwilę się wahała.

- Proszę mi wierzyć, nic pani nie grozi. Mój szef chce z panią porozmawiać, to wszystko.

Gdyby nie puścił jej łokcia, z pewnością nie wsiadłaby dobrowolnie do samochodu. Jeden z mężczyzn otworzył drzwiczki.

- Proszę usiąść z przodu. Nie jest to miejsce dla kogoś, kogo chce się porwać. W kryminalach porwany zawsze siedzi z tyłu, i to pod dobrą opieką.

Colette pomyślała, że zajęła miejsce dla samobójcy. Od kierowcy biła jakaś ohydna woń.

Samochód włączył się w strumień pojazdów zmierzających na południe.

\*

Pod Arpajon zjechali z głównej szosy i zagłębili się w labirynt dróg lokalnych. Wreszcie cienistą aleją dotarli do stojącej wśród drzew willi.

- Jesteśmy na miejscu.

Jeden z mężczyzn wysiadł i otworzył jej drzwiczki.

\*

Przez szerokie okna wlewało się do salonu słońce. Colette oczyma duszy zobaczyła zakratowane okno swojej celi i brudne szyby. Willa była pełna światła i Colette wydawało się niemal, że na linii horyzontu ukaże się Mont Blanc.

Czekał na nią mężczyzna. Mógł mieć około czterdziestki. „Niczego sobie” - pomyślała, patrząc na opaloną twarz w obramowaniu gęstych, jasnych włosów.

Skinął głową na powitanie i wyciągnął ku niej szkatułkę z papierosami.

Nagle odprężyła się. Skórzany fotel dawał wygodne oparcie plecom, słońce grzało nogi. Wzdłuż dwóch ścian biegły mahoniowe półki pełne książek w podniszczonych okładkach. Najwyraźniej stały tu nie dla ozdoby, lecz były czytane.

- Dlaczego mnie porwaliście?

Zwlekał z odpowiedzią.

- Czy napije się pani czegoś?

- Tak, kawy.

Parę minut później oboje pili kawę z malutkich filiżanek z cienkiej porcelany. Czekala bez zniecierpliwienia.

- Nie jest pani moim więźniem, pani Chiglione. Porozmawiamy, a potem moi przyjaciele odstawią panią do Paryża. Myślę, że nie przyjechałaby tu pani dobrowolnie, a mnie się spieszy. Proszę nie zapominać, że zwolniono panią tylko tymczasowo, nadal jest pani podejrzana.

Colette wyczuła groźbę, ale zachowała spokój.

- Czy mogę prosić o jeszcze trochę kawy?

Nachylił się i napełnił jej filiżankę.

- Nazywam się Joss Langlois i reprezentuję interesy firmy Wisconsin Ltd., amerykańskiego towarzystwa ubezpieczeniowego. Pani kradnie dzieła sztuki, ja je ubezpieczam; wykonujemy więc zawody komplementarne i musimy dojść do porozumienia. Colette Chiglione, jest pani podejrzana o paserstwo w sprawie Wallis Brenton. Przypomnę pokrótce fakty. Piętnaście miesięcy temu doszczętnie ogołoco pałacyk pani Brenton

w Auteuil. Zniknęła rzeźba Henry'ego Moora, „Klown” z kutego żelaza Pabla Gargalla, dwa dzieła Giacomettiego oraz „Koza i dziecko” Picassa. Jeśli chodzi o rzeźbę, było to włamanie stulecia. Nie mówiąc o dwóch płótnach Turnera, wyniesionych niewątpliwie przez nieuwagę. Jeszcze trochę kawy? Pokręciła przecząco głową.

- Nasza firma będzie musiała wypłacić pięć milionów dolarów. Oto moja propozycja: zwróci pani rzeźby i obrazy albo po prostu powie pani, gdzie są one ukryte. W zamian my wycofamy skargę. Dostanie więc pani tylko jakiś symboliczny wyrok. Poza tym, rzecz nie do pogardzenia, zainkasuje pani milion dolarów nagrody wyznaczonej przez nasze towarzystwo. Pani Brenton odzyska swoje cacka, my zaoszczędzimy cztery miliony zielonych, pani będzie wolna i na tym sprawa się zakończy. W przeciwnym razie Wisconsin wypłaci odszkodowanie, ale pani zobaczy swego syna dopiero po wielu latach.

Wypił łyk kawy i skrzywił się.

- Ostygła już.

Przyglądał się jej spokojnie.

- Jest pani młoda. Szkoda, żeby wiedła pani w więzieniu. Uprzedzam, że moja propozycja jest ostateczna. Może ją pani przyjąć lub odrzucić.

Colette sięgnęła po filiżankę. Miał rację. Kawa już ostygła.

- Jestem wolna?

- A pani odpowiedź?

- Więzienie nauczyło mnie, że cierpliwość nie jest cechą wrodzoną, a człowiek zdobywa ją powoli. Niech pan cierpliwie poczeka.

- Zgoda, ale nie dłużej niż tydzień. I proszę pamiętać... moja firma nigdy nie da pani spokoju.

Podał jej wizytówkę.

- Może pani dzwonić do mnie pod ten numer o każdej porze dnia i nocy. Odprowadzę panią do samochodu.

## ***Rozdział IV***

Maria Cheney jeszcze raz odpowiadała na pytania policjantów.

Siedziało przed nią dwóch silnie zbudowanych, uprzejmych i pewnych siebie mężczyzn. Przestłuchiwali ją na przemian: numer z dobrze zmaistrowanego music-hallu. Nie klasyczny duet dobrego ze złym, ale sztafeta, w której każdy z protagonistów po kolei bierze świadka w obroty.

- Oczywiście, że miał wrogów. Czy zna pan adwokata, który by ich nie miał?

- Podać nazwiska? Nie mogę. Nie informowaliśmy się wzajemnie o swoim życiu zawodowym.

- A pani kim jest z zawodu?

- Aktorką. Z całym ryzykiem, jakie ta profesja obecnie za sobą pociąga,

- Bardzo lubię aktorki, chętnie idą do łóżka.

- Ma pan kłopoty ze słuchem, inspektorze? Powiedziałam, że jestem aktorką, nie dziwką. Albo będzie się pan zachowywał przyzwoicie, albo stąd wyjdzie, jasne?

Wtrącił się drugi policjant.

- To zwyczajna prowokacja, proszę pani. Chciał



panią wyprowadzić z równowagi. Artykuł 2 „Podręcznika policjanta doskonałego”: wprawić świadka we wściekłość. Gdzie pani obecnie pracuje?

- Nigdzie, czekam na propozycje. To normalne w tym fachu. Poza nielicznymi wyjątkami, raz jesteśmy na scenie, a raz na liście klientów Państwowego Urzędu Zatrudnienia.

- Za to pani mąż, mecenas Cheney, nie próżnował.

- Tak, nie próżnował. Czy to przestępstwo?

Jeden z policjantów miał na sobie ciemnoniebieską bluzę z kołnierzykiem à la Mao, zupełnie niemodnym. Drugi nosił dumnie klubowy krawat w fiołkowe i żółte paski, na którego widok zawyłyby nawet punk na emeryturze.

Facet w bluzie zajrzał do notesu.

- Co pani wie o sprawie Fabrette'a, którą prowadził pani mąż?

- A co niby miałabym wiedzieć?

- Przeprowadziliśmy rewizję w kancelarii pani męża, oczywiście w obecności członka Rady Adwokackiej, i zabraliśmy część akt.

- Skończmy z tym - powiedziała Maria wstając. - Czego ode mnie oczekujecie?

- Powiedzmy: współpracy. Pani mąż został zamordowany. Pozornie nie ma pani z tym nic wspólnego. W chwili popełnienia morderstwa znajdowała się pani u swojej przyjaciółki z lat dziecińczych, Lei Mancini.

Maria podniosła zdumione oczy.

- Wiecie o tym? Już?

- To rutynowa sprawa. Oczywiście pierwszym podejrzany jest zawsze współmałżonek. Policjanci także bywają żonaci, jak pani wie. Ale nie traćmy czasu. Proszę nam opowiedzieć o roli Frederika Cheney'a w sprawie Fabrette'a.

- Bardzo rzadko opowiadał mi o prowadzonych przez siebie sprawach, ale ilekroć mówił o tej historii, śmiał się jak dziecko. Fabrette był przemysłowcem, miał duże przedsiębiorstwo na przedmieściu, wie pan przecież, Fabrette i Chomel, mechanika precyzyjna. Frédéric dopiero otworzył kancelarię i ledwo wiązał koniec z końcem - jak wielu młodych adwokatów. Pewnego dnia zjawił się u niego Fabrette, przysłany przez jednego ze swych wujów. Fabrette to zły człowiek, przemysłowiec w starym stylu, w każdej sytuacji faworyzujący rodzinę. Najważniejsze jest dziedziczenie, oto jego etyka. Wówczas miał na głowie poważny strajk i sparaliżowaną fabrykę. A tego Fabrette nie mógł znieść. U niego wszystko jest proste, mówi o tym napis na tablicy umieszczonej w hallu zakładu: „Jeżeli coś ci się nie podoba, napisz do dyrekcji. Ale najpierw poproś o zwolnienie”. No więc facet przychodzi po poradę do Frederika. Nazajutrz cud, ludzie wracają do pracy.

- Co się stało?

- Frédéric poszedł na ulicę Saint-Denis. Za forszę Fabrette'a wynajął tuzin dziwek i wysłał je do fabryki,

„żeby rozerwały chłopaków”, jak się wyraził. Potem zatelefonował do żon strajkujących i poinformował, co robią ich mężowie. Może pan sobie wyobrazić, co się działo, kiedy prawowite małżonki przybyły na miejsce zbrodni. Ale właściwie dlaczego wyciągacie tę historię?

- Dlatego, że w ubiegłym tygodniu Fabrette'a zamordowano strzałem w tył głowy, a dzisiaj strzelano do Cheney'a, przepraszam, mecenasa Cheney'a, który również zmarł.

- Prawdopodobnie zbieg okoliczności.

- Może. Każde z tych morderstw popełniono przy użyciu innej broni. Różnego kalibru. Na razie my, gliniarze, sprawdzamy. Nie jesteśmy geniuszami, ale ludźmi cierpliwymi. Wycinamy, dopasowujemy różne elementy układanki i czasami jest OK. Proszę mi powiedzieć, droga pani, czy między panią a mecenasem Cheneyem wszystko było w porządku?

- A co was to obchodzi?

Ten w klubowym krawacie uśmiechnął się.

- My i psychiatrzy mamy to do siebie, że we wszystko wtykamy nos.

- Dobrze, wtykajcie nos, w co chcecie, a teraz zabierajcie się. Dość tego.

Pierwszy podniósł się ten w bluzie.

- Może pani być spokojna, będziemy wtykać. Jeśli coś się pani przypomni, proszę zadzwonić do mnie do pracy i prosić komisarza Dubois. Tak, nazywam się Dubois, jak kardynał.

Pożegnał ją gestem ręki.

- Do widzenia, droga pani, na pewno się jeszcze zobaczymy.

\*

Maria zatelefonowała do mnie z automatu i kazała mi przyjść do Forum des Halles. To idealne miejsce. Można się tam spotkać nie zwracając niczyjej uwagi, mimo że dookoła aż się roi od glin.

Spotkaliśmy się przy Wideotece. Maria, cała we łzach, rzuciła mi się na szyję. Tylu jest teraz ludzi opłakujących utratę pracy czy kogoś ukochanego, kto odszedł sobie w siną dal, albo stracone złudzenia, że nikt nie zwrócił na nią uwagi.

Wyszliśmy na górę. Z Marią uczeploną mego ramienia przebyłem horror naszego stulecia - betonowe ogrody, Tadź Mahal V Republiki - kierując się ku Marais. Znam tam dwie czy trzy kawiarenki, gdzie po południu jest spokój i można porozmawiać bez świadków.

Maria opowiada, ale nie dowiaduję się od niej niczego nowego. Brzęczą radioodbiorniki. Śmierć Frédérika stała się najważniejszym wydarzeniem lipca. Koniec z Tienanmen, żegnaj Fourvières i związany z nim bałaganie, precz z pożarami lasów: głównym przedmiotem zainteresowania wszystkich mediów jest zabójstwo mecenasa Cheney'a.

- Boję się - szepcze Maria - bardzo się boję.
- Czego?

- Po pierwsze: glin, po drugie: mordercy.
  - Dlaczego? Czego masz się bać właśnie ty?
  - Policja wszędzie wtyka nos i wkrótce odkryje, że ja i Frédéric byliśmy w separacji. Jeszcze trochę, a trafią do jego rodziców. Frédéric powiedział im, że chcę się rozwieść. A co się tyczy mordercy... Nie rozumiem, dlaczego zabito Frédérika. Nie miał żadnego stałego romansu. Znaleźli tylko notes z adresami dziewcząt na jedną noc czy weekend. Jego jedynym pragnieniem było odzyskanie mnie. Zbyt kochał naszą małą Carole, by zgodzić się na polubowny rozwód. Zaproponowałam mu, by Carole mieszkała raz ze mną, raz z nim, dla jej dobra. Ale on nie chciał, aby szarpała się między nami.
  - Gdzie teraz jest mała?
  - U Laurence, mojej matki.
  - Co o tym wszystkim sądzisz? Kto, poza, tobą i mną, mógł pragnąć jego śmierci?
- Zachnęła się.
- Pleciesz bzdury, Didier. Nie kochałam Frédérika, ale to wcale nie znaczy, bym życzyła mu śmierci....
  - Ja mu jej również nie życzyłem. Gdyby trzeba było zabić wszystkich nadliczbowych mężów, zamknięto by merostwa. A jednak on nie żyje. Dwie kule kalibru 11.43 w serce i jedna u nasady nosa to za dużo na jednego człowieka. Co mówią gliny?
  - Milczą. Wypytywali mnie o znaną ci sprawę Fabrette'a.
  - Jaki to ma związek?

- Stary umiera. Parę dni później Frédéríkowi przytrafia się to samo. Mają ze sobą wiele wspólnego i nagle umierają gwałtowną śmiercią. To musi dawać do myślenia.

- Czy wiedzieli o mnie?

- Na szczęście nie, ale macają, szperają w prywatnym życiu Frédéríka, oczywiście w moim także, wertują jego akta. Mój drogi mąż nie stosował zbyt ortodoksyjnych metod, owszem, lubił bronić wdowy i sieroty, ale pod warunkiem, że wdowa zamordowała, a sierota jej pomagała. Uwielbiał załatwiać sprawy za pomocą pokrętnych zabiegów. „Jeśli już doszło do mowy obrończej, przegrałeś sprawę - mawiał. - Proces wygrywa się w cztery oczy”.

- Znałeś jego klientów?

- Żadnego. Czasem opowiadał mi o jakiejś sprawie, ale bez nazwisk. Z jednym wyjątkiem: był nim właśnie Fabrette. Muszę przyznać, że Frédéric był sprytny. No i niekiedy utrzymywał stosunki z ludźmi niebezpiecznymi.

- Jakie?

- Z pogranicza legalności, to wszystko, co wiem.

- Broni kalibru 11.43 używają złodzieje. Śmierć Frédéríka przypomina egzekucję.

- Dosyć tego! Dosyć! Tak, kaliber 11.43 to broń złodzieja, kaliber 49.3 to pistolet ministra, a kaliber 22 z długą lufą to karabin, z jakim wybiera się na safari biedak. Przestań, Didier, nie mogę już tego znieść. To nie ważne, czy zabiło go strzałem z rewolweru, czy

gumową kulka. Frédéric nie żyje, a ja figuruję na pierwszym miejscu listy podejrzanych. Maria wbija we mnie wzrok.

- Zniszcz list, który ode mnie dostałeś. Nie mogłam się do ciebie dodzwonić. Może jeszcze bardziej mnie pograżać. Jeszcze jedno: w przededniu śmierci Frédéric wpadł do naszego domu. Nie nocował tam już, ale oczywiście miał klucze.

Zaczerpnęła głęboko powietrza.

- Mieszkał w małym hoteliku przy Trocadéro i u swoich rodziców w Créteil. Musiał chyba czegoś zapomnieć i dlatego wpadł do domu. Mój drogi mąż był zawiany. Biorąc czystą bieliznę z szafy, spojrzał na mnie wesoło. Potem rzucił teczkę, z którą przyszedł, na stos koszul i długo na mnie patrzył, bardzo długo. Nie wiem dlaczego, ale obleciał mnie wtedy strach.

- Widzisz, Mario, Rosjanie pokonali Napoleona śniegiem, lodem i mrozem. Ja, tak, ja - Frédéric Cheney - zwycięzę, bo jestem silny. Zwycięzę, bo mam to...

Uderzył pięścią w teczkę i wybuchnął takim śmiechem, jakim śmieją się ludzie na rauszu.

- Ty mnie nie interesujesz - zawołał - ale kocham Carole, a ponieważ ona ciebie potrzebuje, zostaniesz ze mną - dobrowolnie bądź pod przymusem! Albo zgodzisz się utrzymać rodzinę choćby tylko dla zachowania pozorów, jak większość małżeństw, albo cię zniszczę!

Potem wyszedł śmiejąc się, z tłumokiem bielizny pod pachą i kołysząc na czubku palca teczkę. Był

rzeczywiście wytracony z równowagi. Pojechałam do Fontainebleau do Lei, a nazajutrz z radia dowiedziałam się o śmierci Frédérica.

- Co się stało z tą teczką?
- Nie mam pojęcia.
- Czy domyślasz się, co w niej było? Wiem, że nie zagłądałaś do środka, ale może uderzyło cię jakieś jego słowo czy aluzja? Postaraj się sobie przypomnieć.

Potrząsnęła przecząco głową i wstała.

\*

Ulica de Rivoli.

Maria milczy, tylko silniej opiera się o moje ramię. Patrzy na mnie swymi szarymi oczami, w których lśnią ciemniejsze błyski, znane mi z naszych intymnych chwil. Uśmiech wypełza na jej okrągłą buzię z nieco przydługim nosem, który łamie harmonię twarzy, ale nadaje jej jedyne w swoim rodzaju piętno. Maria ściska mój łokieć znaczącym gestem. Udaję, że nie rozumiem. Nie mam ochoty kochać się, mając trupa pod łóżkiem.

Zagłębiamy się w uliczki Saint-Paul. Rozstajemy się przy wejściu do metra.

\*

Ludzie od Jossa Langlois zostawili Colette przy alei du Maine. Ulicą des Plantes doszła do zaułka du



Moulin-Vert, ślepej uliczki, gdzie w maleńkich domkach ogrodzonych murem mieszka kilka rodzin. Większa uliczka w samym sercu Paryża.

Otworzyła okiennice i okna, drzwi zostawiła uchylone. Skończyło się życie pod kluczem. W domu nic się nie zmieniło, tylko pajęczyny, warstwa kurzu i zaduch wskazywały, że od dłuższego czasu nikt tu nie mieszkał. Przeszła na przełaj przez maleńki ogródek. Nie ma już celi i krat, a nad głową jest niebo...

Młoda kobieta z rozkoszą zaczerpnęła głęboko powietrza. Dziwne, było zupełnie inne niż w więzieniu, czyste, świeże.

Opróżniła skrzynkę na listy. Pod zasadzoną przez Pietra wiśnią osunęła się na ziemię, rozluźniona. Zażądała się cicho, przypominając sobie, jak Pietro się chwalił, że zbiera wiśnie w centrum Paryża. Leżąc na wybujałej trawie doznała wreszcie uczucia odzyskanej wolności.

\*

Wróciła do domu. Chciała zapalić światło, podniosła słuchawkę telefonu. Nic nie działało. Trzeba będzie pójść do elektrowni i na pocztę.

Potem spokojnie poszukała wzrokiem źródła swych kłopotów: posągu Gargalla. Miejsce było puste, rzeźba została zasekwestrowana przez policję. W tym właśnie tkwił klucz do całej sprawy. Kto na nią nasłał stróżów porządku publicznego? Kto wiedział, że Pietro Chiglione

był złodziejem i żył wyłącznie z okradania muzeów, rabowania kościołów i prywatnych kolekcji? Do tej pory nawet ona nie zdawała sobie z tego sprawy.

Poznali się w Ecole du Louvre. Nie była to miłość od pierwszego wejrzenia, ale głęboka przyjaźń, która z czasem przerodziła się w coś więcej. Co z tego wynikało? Urodził się Roger.

W łazience nie było ciepłej wody. Colette długo stała pod prysznicem, potem włożyła dżinsy i bluzkę. Rzuciła w kąt torbę, z którą wróciła z więzienia, i wyciągnęła walizkę. Zapakowała do niej ubrania na zmianę.

Z automatu zadzwoniła do Honfleur, gdzie mieszkała jej matka.

\*

Teraz trzeba pójść do warsztatu po auto. Mechanik powitał ją uśmiechem.

- Miło mi znów panią widzieć. Chce pani zabrać samochód?

- Tak, jeśli jest już sprawny.

Uśmiech stał się jeszcze szerszy.

- Oczywiście, że jest, zrobiłem, co należało. Miałem nadzieję, że wypuszczą panią wcześniej.

Spontanicznie ucałowała go w oba policzki. Wiedziała, że mu się podoba, i sprawiało jej to przyjemność.

Nabrała benzyny do pełna i wjechała na autostradę wiodącą na południe. „Najlepsza trasa, żeby dotrzeć do

Normandii - pomyślała - ale muszę trochę pokluczyć, by sprawdzić, czy nie jadą za mną jacyś ciekawscy z Wisconsin and Poulagat Associated”.

Za Melun zjechała z szosy i skręciła w kierunku lasu. Samochód posuwał się nieomal z szybkością pieszego, kiedy minęła Barbizon.

Wydawało się, że nikt jej nie śledzi.

Z czułością uśmiechnęła się, przejeżdżając koło wiejskiego hoteliku, w którym Pietro i ona... Ach, ci włosecy kochankowie! Pierwszego dnia ukradliby dla ciebie gwiazdkę z nieba. Potem... potem są jak wszyscy mężczyźni, nie podadzą ci nawet szklanki wody. Poczowała bolesny skurcz w ciele. Jedenaście miesięcy wstrzeźmięźliwości. Pietro! Zacisnęła zęby i dodała gazu. Ta część lasu nie miała dla niej tajemnic. Jeśli ktoś za nią jedzie, będzie miał zabawę.

Ponad nią przepływały jedynie chmury. Nie dostrzegła helikoptera. Colette przyspieszyła, ale jechała znacznie poniżej dopuszczalnej szybkości. Lepiej nie zwracać uwagi żandarmów.

Zawróciła ostro na północ i bocznymi drogami ruszyła do Honfleur.

\*

Jej rodzinny dom, stojący na wzniesieniu, górował nad ujściem Sekwany. Poniżej, w perłowym świetle, jakie przybiera normandzkie niebo, kiedy jest w dobrym humorze, płynęła wolno szeroka, spokojna rzeka.

Matka czekała na nią taka jak zawsze. Colette miała wrażenie, że w ogóle się nie zmieniła. Ubrana w szarą kamizelkę, niezmiennie trzymająca coś w rękę: a to słoik, a to garnek, czasami obciążonego ze skóry królika, przygotowanego do włożenia do rondla.

Kobiety uściśniły się i patrzyły na siebie w milczeniu. Colette oswobodziła się z matczynych ramion.

- Dobrze się czujesz?

Stara kobieta skinęła twierdząco głową. Jej oczy błyszczały.

- Gdzie jest Roger?

- Niedaleko, u jednego z kolegów. On także czuje się dobrze. Uspokój się, zobaczysz, jak wyrósł.

Colette milcząc obeszła dom. Zamykając oczy dotykała różnych przedmiotów i jej ręce przypominały sobie wszystko, napełniały się kształtem wazonu czy obłą formą lampy.

- Jesteś po obiedzie? Może chciałabyś coś zjeść?

- Masz jabłka?

Matka uśmiechnęła się, wyszła i po chwili wróciła z miską pełną zielonych i czerwonych jabłek. Colette wzięła jedno i wbiła zęby w kwaskowaty miąższ.

- Widziałaś się z Pietrem?

- Tylko w dniu, kiedy wpadł tu zostawić małego. Zaraz potem odjechał moim samochodem. Jedenaście miesięcy temu.

- Nie kazał ci powtórzyć mi czegoś? Nie zostawił żadnej wiadomości?

- Nie, po prostu powiedział, że wróci.

Matka wiedziała oczywiście o jej pobycie w więzieniu, ale o nic nie pytała. Jeśli Colette sama zechce jej powiedzieć... no to powie, do jasnej Anielki! A jeżeli nie...

Nadszedł chłopiec. Miał siedem lat, opaloną wiatrem i słońcem okrągłą buzię, kręcone włosy - po ojcu - i brązowe oczy, których badawczemu spojrzeniu nic nie ujdzie. Stał przed Colette, milczał przez kilka długich sekund, a potem rzucił się na nią w wybuchu dziecinnej, szalonej radości.

Niech diabli wezmą więzienie. Uświadomiła sobie, że nie ma najmniejszego zamiaru tam wrócić; teraz już nie. Klucz do całej sprawy ma Pietro; zatem odnajdzie Pietra, ot i wszystko.

Colette spała z synem w jednym łóżku. Usnęła z głową dziecka wtuloną w zagłębienie ramienia.

\*

Kawa pachniała kawą, a masło miało smak i konsystencję masła.

Po śniadaniu Roger wyciągnął ją na długi spacer po normandzkiej wsi.

- Powiedz, mamusiu, nie odjedziesz już?
- Nie, kochanie, zostanę tutaj.
- Na zawsze? Ze mną?

Uśmiechnęła się.

- A chciałbyś?

Chłopczyk przytulił się do niej.

- Z tobą i z tatusiem.

- Nic ci nie powiedział?
- Tylko że jedzie po pieniądze. Nic więcej.

Kiedy wrócili do domu, matka nie była już sama.

Siedziała z łokciami opartymi o blat stołu, z podbródkiem wciśniętym w złożone dłonie i nieruchomo patrzyła na pistolet, z którego celował do niej postawny mężczyzna w uniformie z czarnej, błyszczącej skóry, jaki noszą motocykliści.

Colette pomyślała, że facet ma twarz jak z portretów pamięciowych rozsyłanych przez policję. Lufą pistoletu dał znak nadchodzącym.

- Podejdź tutaj. Ty, mały, też. Nie ruszać się i słuchać. Przede wszystkim nie ruszać się!

Miał bardzo śniadą twarz, od prawej skroni aż do środka policzka naznaczoną długą blizną. Oczy szare, włosy przeredzone. „Musi mieć grubo po czterdzieste” - pomyślała Colette.

- Kim pan jest?! Czego pan chce?!

- Chcę Pietra. Nazywam się Paul, Paulo Marsylczyk, nic ci to nie mówi?

- Nie wiem, gdzie jest Pietro. Ja też go szukam. Nigdy o panu nie słyszałam ani od męża, ani od kogokolwiek innego. Niech pan schowa swoją artylerię, nic tu panu nie grozi.

Mężczyzna trzymał broń wycelowaną w czoło starszej kobiety.

- Ach, więc mnie nie znasz? A jednak właśnie mnie powinnaś podziękować za jedenaście miesięcy wakacji.

Podniosła pytająco brwi.

- Obaj zrobiliśmy ten skok do Brentonów, Pietro i ja. Ładna sprawa, dobra robota. Włamujemy się, zabieramy co trzeba, chowamy. I wtedy Pietro proponuje, że odkupi ode mnie „Kłowna”, bo chce ci zrobić z niego prezent.

Motocyklista zbliżył się do Colette, przesunął lufę pistoletu po jej głowie, targając włosy.

- Bo kocha swoją żoneczkę, ten łajdak. Nie bez kozery jest makaroniarzem. „Rodzina - wzdychał - ach, rodzina...”

Broń przestała błdzić po włosach Colette. Paul chwycił jedno ich pasmo i pociągnął głowę młodej kobiety do tyłu.

- Tak, „Kłown” był dla ciebie. Zgodziłem się, jak kto głupi. I w dodatku na kredyt, bo nie zdążył jeszcze upłynnić towaru. Na kredyt!

Ręka przyciągnęła twarz Colette do stołu, aż dotknęła blatu.

- Robi ci z niego prezent - i znika. Czekam dzień, tydzień i wracam na melinę, do willi należącej podobno do niego. Nic, kompletna pustynia. Wszystko zabrał. Wściekłem się i doszedłem do wniosku, że jest tylko jeden sposób, żeby go zmusić do opuszczenia kryjówki: nasłać gliny na jego przenaјświętszą rodzinę, na ciebie. Jeden telefon i firma „Tajniak i spółka” zapewniła ci na rok wikt i opierunek. Dla glin „Kłown” był wart więcej od wszystkich długich rozmów.

Paul zdjął rękę z jej karku, cofnął się, ale broń nadal

była wycelowana w małe trio. Colette wyprostowała się, potarła twarz.

- Oto moje warunki. Odnajdziesz Pietra, on zapłaci mi moją dolę i zapomnę o was. Jeśli twój mąż jeszcze raz zechce mnie oszwabić, długo nie pożyje. Poza tym wytłumacz mu, że jeśli będzie zbyt zwlekał, zajmę się najpierw waszym synem, potem twoją matką, wreszcie tobą. Daję ci cztery dni. Nie cztery i pół, ani nie pięć. Cztery.

Jego wysoka sylwetka złamała się we dwoje, kiedy zgiął się, by złożyć ukłon matce Colette.

- Moje uszanowanie pani.

Pistolet poruszył się i z wolna zbliżył do czoła Colette. Zadrżała, kiedy poczuła na skórze stal.

- Cztery dni... Nie zapomnij.

Tyłem wycofał się do drzwi.

- Zostaniecie przy stole przez pięć minut, bez ruchu.

Paul chwycił wazon, który gładziła po przyjeździe, i rzucił nim w róg kominka. Kawałki alabastru rozsypały się po pokoju.

Zastygli w bezruchu. Słyszeli, jak cichną jego kroki. Silnik motocykla ryknął bojowo.

\*

Jak można przeżyć tyle lat z mężczyzną i nic o nim nie wiedzieć? Osiem lat wspólnego życia, aby odkryć, że Pietro jest kimś obcym...



Powiedział jej, że nie ma żadnej rodziny i jest jedynym dzieckiem dawno zmarłych rodziców. Rzeźbiarz. „Jestem rzeźbiarzem” - mówił. Nigdy nie widziała jego pracowni, ani jakiegokolwiek dzieła.

- Nie robię niczego na sprzedaż. Odnawiam rzeźby dla muzeów i bogatych ludzi.

Uwierzyła mu, naiwna. Znała tylko nielicznych jego znajomych, których spotykali w jednej z restauracji na bulwarze Montparnasse, „U Boba”, gdzie Pietro czuł się jak u siebie w domu. Ich stały krąg towarzyski składał się z jej przyjaciół.

- I to mi wystarczało przez osiem lat. Łóżko jako środek komunikacji, łatwe pieniądze jako poezja, uwielbienie dla synka jako życie rodzinne i czułość, wyrażana podarunkami. Osem lat...

Matka patrzyła na nią bez słowa. Colette przypomniała sobie jej ostrzeżenia.

- Nie będziesz miała z tym chłopcem łatwego życia - mówiła - zastanów się jeszcze.

Ale miłość była jak sowiecka biologia w czasach Łysenki, gdy w królestwie ślepców jednoocy stawali się głusi. „Powinnam zafundować sobie okulary i aparat słuchowy” - pomyślała Colette.

Starsza pani podniosła się i zarzuciła na ramiona szal.

- Dokąd idziesz?

- Umieścić Rogera w bezpiecznym miejscu. Nie podoba mi się ten przystojniak. Boję się go, a kiedy się boję, bronię się, do jasnej Anielki! Chodź, Roger.

- Pójdę z tobą. Dokąd?
- Niedaleko mam przyjaciół. Weź samochód, wskażę ci drogę.

Colette usadowiła matkę i dziecko na tylnym siedzeniu. Peugeot ruszył przez pola.

## ***Rozdział V***

Mam się spotkać z Loïckiem, który wrócił do Paryża.

Wchodzę do Gospody pod Królewskim Węglarzem, gdzie Fernand wita mnie serdecznym „Czołem, artysto!”.

O tej porze nie ma właściwie ruchu. Lena, portugalska posługaczka, szura leniwie szczotką do zamiatania. Neuron, który nienawidzi języka technokratów, ochrzcił ją mianem RJO. Podobno urzędnicy wyedukowani w Państwowej Szkole Administracji właśnie tak będą jutro nazywali kobiety i mężczyzn zajmujących się sprzątniem: Ruchoma Jednostka ds. Oczyszczania.

Jedyny klient, Loïck Schwartz, siedzi przy stoliku w głębi sali.

Obsługuje nas Fernand, taszczący przed sobą brzuszysko.

- Powinieneś schudnąć - mówi Loïck.

Na co Fernand odpowiada dobrodusznie:

- Tłuszcz to majątek, przyjacielu. Ale to zła lokata... Gdybym ci zdradził, ile mnie kosztowało wyhodowanie tego kałduna, i gdybyś wiedział, ile on dzisiaj jest

wart, nie radziłbyś, abym się go pozbył. Odbiera mi to humor.

Można pochodzić z Saint-Flour, a mówić językiem południowca Pagnola. Fernand wraca za ladę i znów ginie w stosie rachunków.

- Wybacz, Didier, że podejmuję cię tutaj, ale dom jest w przebudowie.

- Powiniennem się tego domyślić.

Margot, połowica Loïcka, ma zadawniony kompleks. Chciała pójść na architekturę, a skończyła informatykę. I od czasu do czasu daje to o sobie znać: Margot lubi zmieniać coś w mieszkaniu, które służy również za biuro Loïckowi. Stąd wędrowne życie, jakie prowadzi mój impresario, krążący między domem a Królewskim Węglarzem, oraz egzystencjalne problemy, jakie to za sobą pociąga. Bywa, że śpi w wannie, a śni w salonie. W następnym miesiącu pracuje w kuchni. Czasami, żeby nie jeść w sraczyku, wymyka się do restauracji. Piekło.

Rozmawiamy o interesach i Loïck proponuje mi rolę w przygotowywanym właśnie filmie erotycznym pod efektownym tytułem „Czy nawaliły ci rodzinne klejnoty?” Oczywiście odmawiam. Występowałem w okropnych chałach, żeby zarobić na życie, grałem w sztukach Jeana de Létraza, chyba nawet wygłaszałem kazania, robiłem w telewizji, ale zaangażować się do pornosu, kiedy człowiek marzy o zagranii Juliusza Cezara i wygłaszaniu kwestii, od których dreszcz przebiega sałę: „Bo Brutus jest mąż ze wszech miar szanowny i tamci wszyscy są szanowni ludzie” - nigdy!

Loïck wzdycha.

- Marnie wyglądasz, Didier. Masz kłopoty?

Nie mam ochoty opowiadać swego życia.

- Ależ nie, wszystko w najlepszym porządku. Po prostu jestem trochę zmęczony.

Rozbiera mnie na czynniki pierwsze byстрыm spojrzeniem.

- Widzę, że masz kłopoty sercowe. Ale na razie zabierzesz się do roboty.

Z czarnej, skórzanej teczki wyciąga jakieś papierzyska i zaczyna je przeglądać.

- O, mam tu coś w sam raz dla ciebie: prowadzenie wieczoru zorganizowanego przez „Caritas-biznes”. Twoje zadanie będzie polegało tylko na przedstawieniu różnych nedorajdów ze świata polityki, paru ćpunów ze świata mody i kilku galerników piosenki. Po „Wizie do Libanu” i „Kłosie dla Etiopii” organizują „Rower dla Chin”. Żeby pomóc tym na placu Tienanmen. Kiedy już każdy Chińczyk będzie miał rower, na Wschodzie zapanieje demokracja, twierdzą.

- Miliard rowerów? Nigdy nie dadzą rady.

- To bez znaczenia. W najgorszym razie wyślą same siodełka, dzwonki i pedały. Najważniejsze, żeby o nich mówiono. Trzy tysiące franków za wieczór, załatwasz dziury w budżecie, póki nie znajdziesz czegoś lepszego.

Nie mam wyboru, więc się godzę.

Loïck kończy podawać mi dane organizatorów, pokuje swoje papiery, wstaje i poklepuje mnie po ramieniu. Przyjacielski gest, raczej u niego rzadki.

- Dzwon do mnie bez wahania, jeśli będę mógł się na coś przydać.

To fakt, rozumiemy się dobrze, myślę nawet, że jest do mnie przywiązany. Jak każdy impresario, bierze procent od swych podopiecznych, więc kocha bliźniego swego jak siebie samego. Szkoda, że jest trochę masochistą.

Fernand śpiewa za kontuarem. Zdarza mu się to czasem, kiedy na sali jest pusto albo gdy klientami są kumple. Lena, RJO, przestaje zamiatać i zdziwiona słucha słów Bruanta:

*Ca prouve que quand on est catin  
Faut s'établir chaussée d'Antin  
Au lieu d'se faire une clientèle  
A Grenelle,  
A Gre-nai-ai-leu!\**

\* To znaczy, że jeśli jest się dziwką, lepiej pracować na Chaussée d'Antin, niż zdobywać klientelę na Grenelle.

Robię pożegnalny gest w kierunku śpiewającego i zmierzam ku drzwiom. Fernand kiwa na mnie.

- Didier, byłbym zapomniał. Nyża chce się z tobą zobaczyć.

\*

Budzę się. Dzień jest ciepły. Zaczynam szukać starego Nyży, a po drodze zaglądam do kolegów. Każdy ma swoje bistro. Zagłębiam się w znajomy labirynt

przy rzeźniach. Na Vaugirard nie ma już rzeźni. Zalew płatków kukurydzianych, Panzery i eksterminacja Indian na Dzikim Zachodzie wykończyły koninę.

Tam, gdzie były rzeźnie, jest teraz ogród, „park”, jak utrzymują władze miejskie z właściwą sobie megalomanią. W hołdzie dla Georges'a Brassensa nadano mu jego imię. To kupa betonu, prawdziwych lub fałszywych konstrukcji budowniczego starych hal, Baltarda, oraz parę rzeźb przedstawiających zwierzęta, przeniesionych z dawnego Trocadéro.

Wstępuję na szklaneczkę do Walczaka; stary mistrz dawno już powiesił na kołku rękawice, ale zawsze pamięta pierwszego „szczawika”, który go znokautował.

Przechodzę przez park i już jestem koło basenu i wieży. Zgoda, to nie kampanila św. Marka, ale za to w Wenecji nie mają Nyży.

Mam wrażenie, że facet na mnie czekał. Bardzo lubię Nyżę. W jego oczach można znaleźć odbicie wszystkich aktów przemocy, których jeszcze nie zazналиśmy, chorób, których jeszcze nie mieliśmy, i przyszłych cierpień, które będziemy musieli znieść. Właśnie tym są starzy ludzie - zwierciadłem naszej przyszłości.

Nyża ćwiczy pamięć, ucząc się wierszy, i wita mnie zawsze jakimś cytatem z Rimbauda czy Baudelaire'a.

- Rozumiesz, mam już głowę jak sito, bawię się więc w gimnastykę mózgu.

I jednym tchem recytuje mi wyniki wyścigów konnych, numery rejestracyjne samochodów, ostatnie wygrane w Totolotka.

Warto również posłuchać, jak opowiada o naszej dzielnicy.

- Wiesz, chłopie, w jesienne wieczory wszystko zwykle ożywa w mej pamięci. Tam, w stronę Brancion, był koński targ. We czwartki nie mieliśmy lekcji, więc chodziłem tam z moim dziadkiem. Oglądałem konie pociągowe, spętane, z tym nikłym blaskiem w oczach, jaki mają wszystkie zwierzęta, kiedy wiedzą, że idą na śmierć. Konie i ludzie czują tak samo. Widziałem to na wojnie. W podobnych chwilach chłopaki mają również takie oczy. I widzisz, od tamtej pory nigdy nie jadałem mięsa. A są jeszcze inne rzeczy. Gdy mgła przesłania domy i widzisz tylko świetlną aureolę lamp, a asfalt lśni, kiedy robi się ciemno i zjechały już samochody, hen, w oddali, słyszysz najpierw cichy szum. Potem staje się wyraźniejszy, ale zachowuje jedną linię melodyczną niczym saksofon łkający po cichutku, zawsze na tę samą nutę. Zbliża się, stopniowo dźwięki się różnicują, zawsze w niskiej tonacji. I zaczynasz słyszeć stuk kopyt o bruk. W tamtych czasach, chłopie, jezdnie układano z drobnych kamyków. Na ulicy Clos-Feuquières do tej pory jest skład żwiru. Na szczęście dla glin, w 1968 roku gówniarze, którzy robili rewolucję dla hecy, nic o tym nie wiedzieli. Daj mi fajkę.

Podaję mu gitany i ogień.

Stary ciągnie swoją opowieść:



- Tak, ulice także mają pamięć... A stukot podków rośnie, spowija domy, tworzy taneczne *tremolo*, ogarniające powoli całą dzielnicę, czasem przerywane rżeniem, które zagłusza monotonne kląskanie końskich kopyt o bruk. I zaraz widzisz, jak z mroku wyłaniają się konie pociągowe. Idą stadem, pod strażą ludzi obojętnych na ich bliską śmierć. Widzisz, jak we mgłę rysują się cienie zwierząt, ich ciała dymią jak kotły pełne mięsa, para unosząca się z nozdrzy klaczy maluje koronkę na makramie utkanej z mgły. Pochód zamykają perszerony, podobne do wielkich lokomotyw. Chrzęści żwir, bicze grzyw ciągną się za szyjami, koński odór rozchodzi się w powietrzu. Co za taniec! Wspaniały i makabryczny. Ale to jeszcze nip, to tylko zwierzęta. Tak, chłopie, ulice mają pamięć, po asfalcie błądzą widma, pełno ich w Paryżu. Pojeźdź na ulicę Nélaton, tam, gdzie był Velodrome d'Hiver. Widziałem tę słynną łapankę w 1942. Widziałem. A wtedy, co za koszmar, były tam dzieciaki, pisklęta, które miały w oczach ten sam błysk. Cholera! Napiłbym się, postaw mi szklaneczkę.

Idziemy do baru. Stary spogląda na mnie w milczeniu.

- Podobno mnie szukałeś?

- Tak. Tamtego dnia poszedłem z jednym facetem na kielicha do Nationalu - tuż przy domu, gdzie rąbnęli tego adwokata - i zastanawiam się, czy...

Urywa.

- ...czy co?

- Nie, nic, to bez znaczenia, a poza tym nie lubię glin, to muły.

Chcę coś z niego wyciągnąć. Stary sączy swoje be-aujo-lais i milczy. Znam go dobrze, nic już nie powie.

Wróciłem do domu, obsesyjnie myśląc o Marii.

Sięgnąłem po karafeczkę śliwowicy - którą przysłał mi kuzyn Jules z Rignac w departamencie Lot - żeby się trochę podnieść na duchu. Jeden łyk, dwa. Psiakość! To najlepszy środek nasenny.

Nazajutrz zaraz po przebudzeniu włączam radio. Krótkie wiadomości: W Lionie prefekt ogłasza stan klęski żywiołowej: w tunelu Fourvières zrobił się nie-samowity korek, który blokuje całe miasto. Są także nowe wiadomości w sprawie Cheneya. Dziś rano aresztowano Marię: zawieziono ją do Bois d'Arcy.

\*

Umówiłem się na spotkanie z René Vermontem, jej adwokatem. Moje stosunki z Marią nie są dla niego tajemnicą. Wszystko mu opowiedziała. Marne widoki: zdaniem tego kauzyperdy, Maria jest i pozostanie pod kluczem.

- Dlaczego ją aresztowano?
- Ma dziurawe alibi.
- Ależ ma niezbite alibi! Kiedy zabito Frédérika, była w Fontainebleau u swojej przyjaciółki Lei.
- Wie pan, jak to bywa z alibi... Lea Mancini, zdjęta

strachem, zgłosiła się sama na policję i oświadczyła, że skłamała, chcąc pomóc pani Cheney.

Każde jego słowo spada na mnie jak cios. Ogarnia mnie uczucie strachu, a zarazem wzmożonej świadomości. Słyszę te słowa, a jednocześnie widzę je jakby wyświetlone na olbrzymim ekranie: MARIA... KŁAMSTWO... JEJ ALIBI ZOSTAŁO OBALONE... W porządku, skłamała. Ale dlaczego? Kogo chciała chronić? I gdzie była w chwili morderstwa?

- Prawdę mówiąc, wydaje mi się, że policja blefuje. Nawet jeśli Maria Cheney skłamała, nie mają przeciwko niej żadnego dowodu. Nie znaleziono też broni, którą popełniono zbrodnię.

- Sądzi pan, że jest winna?

- Nie mam pojęcia. W każdym razie zrobię wszystko, żeby ją z tego wyciągnąć. A pan... gdzie się pan znajdował w chwili śmierci Frédérিকা Cheney'a?

Jestem tak przybity, że nie czuję się nawet zraniony jego podejrzeniem, nie zamierzam jednak dać się wciągnąć w tę grę, więc milczę.

Nie zrażony, pyta po raz drugi.

- Nie pański interes. Zrobię wszystko, aby pomóc Marii. Ale ja uważam, że jest niewinna.

Lodowacieje nagle i odprowadza mnie do drzwi. Docieram do domu późno, po długim, bezcelowym wałęsaniu się po mieście.

Wyciągam śliwownicę, znów próbuję zapomnieć. Ale na pewno nie jest to dobre rozwiązanie. Potrzebuję pomocy, sam nie dam sobie rady.

W podobnych momentach przeglądamy listę przyjaciół. Ale moja jest nie większa niż mikroprocesor, zajmuje tyle miejsca co paznokcie.

Neuron i Ofelia są na wakacjach w Alpach, więc odpadają. Kto jeszcze może wchodzić w grę? Moi nieliczni kumple włączą się gdzieś po świecie. Przecież jest lato.

\*

Następnego dnia wieczorem odwalam swoją pańszczyznę dla „Caritas-biznes” i ledwo żywy spotykam się na spektaklu z Loïckiem Schwartzem. Zawijamy do jednej z piwiarni na bulwarach. Cały w nerwach, opowiadam mu o swych kłopotach.

Loïck słucha, odstawia kufel, bierze mnie za rękę.

- Jesteś aktorem, prawda? Znasz więc sekundę paniki, poprzedzającą podniesienie kurtyny, niesamowity moment, gdy stoisz w świetle reflektorów naprzeciw ciemnej sali, pełnej niewidocznych głów? Sam przeciwko wszystkim, boisz się, że zwycięstwo możesz odnieść tylko jednym: spowodowaniem, by cisza wibrowała. Podobnie jest z twoją historią. Zamordowano mężczyznę, o dokonanie tego czynu podejrzana jest kobieta twego życia, żona ofiary. To chwila, gdy laska trzykrotnie uderza o podłogę: słyszysz bicie swego serca... słyszysz ciszę, która już wibruje w ciemności. Skąd się bierze to wibrowanie? Oto jest Pytanie!

- Co masz na myśli?
- To, że wibrowanie jest w Fontainebleau. Lea Mancini skłamała. Gdzie tego dnia była Maria? Kiedy mówisz Żydowi, że na niebie jest milion gwiazd, wierz ci na słowo, ale jeśli widzi napis: „Uwaga, świeżo malowane”, dotknie palcem, by się przekonać, czy to prawda. Moja żona wyjeżdża jutro na wakacje. Ja zostaję jeszcze w Paryżu. Jeśli chcesz, wybiorę się z tobą do Fontainebleau, żeby pogadać z tą dzielną Leą; zaczniemy od tego... popatrzymy, póki farba jeszcze świeża.

\*

Loïck zatrzymuje samochód przed białą willą pod lasem.

Krata oddziela drogę od szerokiej wstęgi trawnika.

Dzwonię. Nikt nie odpowiada, ale widzę ruszającą się firankę i jakąś głowę za szybą. Ponownie naciskam dzwonek.

W pustej alejce pojawia się kobieta w średnim wieku. Zmierza ku nam.

- Idę, już idę, nie jestem głucha. Jesteście z policji?
- Oczywiście - mówi Loïck. - Chcemy się zobaczyć z panią Mancini.
- Jestem jej matką, córki nie ma w domu.
- Zaczekamy na nią.
- Nie zrozumiał mnie pan. Wyjechała dziś rano do Hiszpanii.

- Przecież zabroniliśmy jej się oddalać!

Kobieta spuszcza głowę, przesuwa ręką po siwych włosach i krzywi się. Mam wrażenie, że zaraz wybuchnie płaczem.

- Gdzie jest córka?

- Nie wiem. Miała tego dosyć. Jestem pewna, że do mnie zadzwoni.

Nie wiedziałem, że Loïck jest tak dobrym aktorem. Zniża głos, rozgląda się dokoła, jakby bojąc się, że ktoś go usłyszy.

- Proszę nas wpuścić do domu, sąsiedzi nie muszą wiedzieć, że przyszła do pani policja.

Kobieta, przekonana, otwiera nam furtkę. Zaprasza do salonu, gdzie stoją meble przykryte szarymi pokrowcami. Nie wiedziałem, że są jeszcze ludzie, którzy w ten sposób chronią swoje sprzęty. Galeria najróżniejszych rozmiarów fotografii, oprawionych w lustrzane ramki i poustawianych na kominku, sprawia, że pokój robi wrażenie czegoś istniejącego poza czasem. Przyglądam się zdjęciom. Starsza pani podchodzi do mnie.

- To całe moje życie - mówi.

Na jednej z fotografii poznaję Marię. Udaję zdziwienie i bąkam:

- Podobna do Marii Cheney.

- To ona, przyjaciółka Lei z pensji. Były nierozłączne.

- I pani Cheney nie była tu w ubiegły piątek, prawda?

- Rzeczywiście, przyjechała do nas na obiad

poprzedniego dnia. Jestem tego pewna. W piątek zawsze je się u mnie rybę, a Maria pomagała mi łuskać fasolę do baraniny. Proszę mi wierzyć, gospodyni nigdy nie myli się w sprawach tego rodzaju.

- A więc Maria odwiedziła panie we czwartek. Długo tu zabawiła?

- Nie, wyjechała wkrótce po obiedzie.

- Czy wie pani dokąd?

- Boże drogi, oczywiście, pojechała zobaczyć się ze swoją córeczką Carole, która spędza lato u babki w Milly.

- Dlaczego ukryła to pani przed naszymi kolegami?

- Ależ niczego nie ukrywałam. O nic mnie nie pytali, to wszystko. Interesowała ich tylko Lea.

- Proszę mi podać adres tej osoby w Milly.

Kobieta szpera w szufladzie i podaje mi wizytówkę, na której jest napisane: Laurence Villars, ulica 11 Listopada, Milly-la-Forêt.

Wracamy do samochodu. W głowie mi szumi. Dlaczego Maria skłamała? Kogo stara się chronić? Albo co chce ukryć?

\*

Laurence Villars przyjmuje nas bardzo dobrze.

Nie ma mowy, aby opowiadać jej, że jesteśmy z policji, z nią ten numer nie przejdzie. Przedstawiam się jako przyjaciel jej córki.

Gdy usłyszała moje nazwisko, jej spojrzenie stwardniało, ale po chwili złagodniało. Ta miła pani potrafiła

nieźle nad sobą panować.

- Proszę wejść, dużo o panu słyszałam od Marii.

W wysypanej białym żwirem alei mniej więcej dziesięcioletnia dziewczynka kreśli „ósemki” na rowerze. To Carole, córeczka Marii i Frédérika. Widziałem ją kiedyś z matką. Mała podśpiewuje: „Czy jest taka mrówka: sto metrów długości, kapelusz na głowie? Kto mi to powie, kto mi to powie?” Kiedy się zbliżamy, dziewczynka milknie i mocniej naciska na pedały, żeby się z nami nie spotkać. Laurence prosi, żebyśmy usiedli i zaczyna się krzątać.

- Whisky?

Loïck chętnie przystaje na propozycję:

- Bourbona albo szkocką.

Ta kobieta ma klasę. Jest wyższa od córki, bardzo szczupła, mimo zbliżającej się sześćdziesiątki. Teściowa Frédérika Cheney'a pachnie bardzo drogimi perfumami. Widać, że często odwiedza kosmetyczkę. Styłowa, srebrzysta fryzura okala ledwo umalowaną twarz. Byстрыm oczom nic nie umknie. Nos ma nieco za długi, zaciśnięte usta - ciemnopąsowe. Teraz wiem, komu Maria zawdzięcza swój urok. Chanelowski kostium i czarne lakierki ze srebrnymi klamerkami dopełniają sylwetki modelki. To portret damy z wielkiej burżuazji, lansowany przez trzeciorzędne zumale mód.

Wznoszę toast:

- Za uwolnienie Marii.

Pijemy. Loïck pyta:



- Kiedy ostatni raz widziała pani córkę?

Laurence ledwo widocznym gestem porusza kryształową szklaneczką z whisky, w której podzwania kostka lodu.

- W piątek.

- Mogłaby pani przysiąc?

W jej oku zapala się błysk pogardy.

- Proszę, niech pan nie udaje idioty. Mogłabym przysiąc, nawet gdybym mówiła nieprawdę. Tu chodzi o moją córkę, a wiem, że ten pan - tu ruch podbródka w moją stronę - jest z nią blisko. Po co więc miałabym was okłamywać? Chcecie jej pomóc - doskonale, miło mi was widzieć. Dojdziemy do porozumienia.

Nie mogę zrozumieć, dlaczego ta kobieta budzi we mnie lęk. Intuicja aktora? Może, nieźle wyczuwam ludzi i rzeczy. Tak, boję się Laurence Villars.

Zapada cisza. Każde z nas zatapia się w swoich myślach. Ktoś w tej historii kłamie i właśnie dlatego Maria znalazła się w więzieniu. Przerывam milczenie i relacjonuję Laurence naszą rozmowę z matką Lei Mancini.

Łyk szkockiej. Laurence odstawia szklanke na konsolę z połączanego drzewa, przechodzi przez salon i zatrzymuje się przede mną.

- Ostatecznie jest możliwe, że Maria we czwartek była u Lei, a w piątek tutaj. Jeśli rzeczywiście tak było, mimo wszystko pragnęłabym mieć klucz do tego fałszywego alibi.

Laurence znów ujmuje szklanke.

- Pierwsza zasada, to nigdy nie uważać, że policjanci to debile. Maria o tym wie. I przez to jeszcze trudniej zrozumieć jej kłamstwo. Było oczywiste, że policja będzie we wszystko wtrzywać nos. Mój zięć nie był byle kim. Zajmował się polityką, tarzał się w niej e lubością jak świnia w błocie, a jego śmierć może mieć reperkusje w pewnych środowiskach. Policjanci nie popuszczą. Będą szperać, ryć i nie dadzą za wygraną.

- W brudnej polityce?

- Tak, zasmakował w niej po sprawie Fabrette'a i organizował goryli do ochrony pewnych osób. Robota dobrze płatna, honorarium przewyższające minimum socjalne, za to panu ręczę.

- Chodzi o tak zwaną straż przyboczną?

- Jeśli pan woli, ale bardzo dyskretną. Frédéric lubił pieniądze i brał je od ludzi, którzy je mają. Ja zresztą także, jestem przecież antykwariuszką.

- Miał innych klientów?

- Tak, złodziei. Frédéric uważał, że łatwiej jest bronić sprawców napadów, niż zrobić napad. Jest to lepiej płatne i mniej niebezpieczne.

- Aprobowała pani jego postępowanie?

Ujmujący, niezwykle ujmujący uśmiech, kolejny łyk whisky i wybuch śmiechu, który wypełnia cały salon.

- Oczywiście. Pieniądze są jak nierówność: tego się nie dzieli, to się zdobywa. Tylko głupcy biją się o równość. Dlaczego chciałby pan, aby przystojny, bogaty,

a więc zapewne inteligentny mężczyzna dzielił swe zalety z kimś brzydkim, biednym, a więc z pewnością głupim? Nie lubiłam swego zięcia, kto normalny może lubić swego zięcia, niech mi pan powie? Ale akceptowałam jego poglądy, i to totalnie. Pomyślałam: totalnie, ale się nie odezwałam.

- Zgoda, nie lubiła go pani. Ale widocznie był jeszcze ktoś, kto nie lubił biednego Frédérika. Kto?

Niezbyt mi się podoba spojrzenie, jakim obrzuca mnie Laurence. Po chwili opanowuje się i ciągnie dalej:

- Bądźmy sprzymierzeńcami - dla dobra Marii. Niech pan do mnie zatelefonuje, jeśli dowie się pan czegoś nowego. Ja zrobię to samo, panie Valois.

Spogląda na zegarek.

- Proszę mi wybaczyć, mam spotkanie w Paryżu.

W alejce Carole nadal jeździ w kółko na rowerze i śpiewa: „Czy jest taka mrówka: sto metrów długości...” Laurence podchodzi do dziewczynki, zatrzymuje ją i całuje w oba policzki.

- Powiedz, kochanie, nie znasz innej piosenki? Zmień płytę, dobrze?

Antykwariuszka wsiada do lancii. Służący zamyka furtkę do ogrodu.

Wracamy do samochodu. Loïck milczy. Wydaje mi się, że i on jest pod wrażeniem Laurence Villars.

## ***Rozdział VI***

Dojechawszy do Rouen, Colette Chiglione skręciła w autostradę prowadzącą do Paryża. Teraz mało ją obchodziło, czy jest śledzona.

Monotonny szum motoru działał na nią kojąco. Oparłszy nogę o pedał gazu, wyciągała z samochodu maksimum prędkości. Co za rozkosz prowadzić tak szybko po jedenastu miesiącach uwięzienia!

Układanka była prawie gotowa: brakowało tylko głównej części: Pietra. Wiedziała już, dlaczego ją aresztowano i na myśl o Paulu poczuła gwałtowny przypływ nienawiści. I to idiotyczne, staroświeckie, złodziejskie przezwisko, Paul Marsylczyk! Mesrine brzmiało znacznie lepiej: słynny przestępca był po prostu Mesrine'em. Marsylczyk... Samochód o mało nie wypadł z szosy.

W Paryżu Colette zatelefonowała do Jossa Langlois, faceta z firmy Wisconsin, i wyraziła zgodę na jego propozycję. Dla niej transakcja była korzystna. Premia obiecana w zamian za rzeźby była sumą nie do pogardzenia. Będzie mogła wyjechać do Honfleur i pracować tam, mając przy sobie Rogera. Pietra także, gdyby zechciał. Coś odezwało się w jej pamięci. Przed oczami

stanęło jej jedenaście miesięcy spędzonych w więzieniu. Poprawiła się: „Roger tak; Pietro... jeśli ja będę chciała”.

Facet z firmy ubezpieczeniowej również się nie rozmyślił: jeśli Colette dostarczy rzeźby, dostanie obiecane pieniądze.

- Niech się pani nie obawia - powiedział. - Żadne towarzystwo ubezpieczeniowe nie może sobie pozwolić na kandy w tego rodzaju negocjacjach.

- Muszę mieć więcej czasu.

- Mogę pani dać jeszcze tydzień. Ale po upływie tego terminu firma Wisconsin wypłaci odszkodowanie klientom. Powodzenia.

I znów zobaczyła w myślach obraz układanki, ale tym razem towarzyszył mu dźwięk. Usłyszała słowa Marsylczyka: „... wracam na melinę, do willi należącej podobno do niego...” Willa! Dobrze sobie! Nie mieli nic poza domkiem w zaułku du Moulin-Vert.

Stanął jej w pamięci śmiech, jakim Pietro wybuchnął po kupieniu tego domu. „Zaułek du Moulin-Vert!\* Toż to adres dla jakiegoś ekologa, daję słowo”. Ekolog! Ecole! Saint-Cyr-PEcole! Jakże mogła zapomnieć?

\* Zielony Młyn.

Kiedyś zawiózł ją tam, do domku z czerwonej cegły.

- Tutaj się urodziłem - powiedział. - Ten dom należał do naszej rodziny. Zbudował go mój ojciec.

Byli tam jeszcze dwukrotnie. Potem Pietro sprzedał tę małą farmę.

- Jej utrzymanie jest zbyt kosztowne, jeśli się tu nie mieszka, a jeśli ją wydzierżawię, będą z tym nieustanne kłopoty. Sprzedam ją.

Okłamał ją! Nie po raz pierwszy... Marsylczyk twierdził, że właśnie tu melinował towar ze skoków.

\*

Droga nr 10; zapamiętała kępę drzew koło wieży ciśnień i mur z wymalowaną czarnymi literami reklamą jakiejś marki czekolady.

Zakręt. Wieża stała w szczerym polu. Na wprost niej horyzont zamykała betonowa linia przypominająca ni to klatkę na króliki, ni to klatkę w zoo: to paskudztwo zbudowano w okresie kryzysu mieszkaniowego.

Jeszcze jeden zakręt i ukazał się mur z literami wyłaniającymi się spod odpadającej farby:

O... L... A... D...

Opuszczone domostwo z czerwonej cegły otaczała istna dżungla chwastów. Okiennice były zamknięte, wydawało się, że nie ma tu żywego ducha.

Nacisnęła guzik dzwonka, ale nie rozległ się żaden dźwięk. Prawdopodobnie nie było prądu. Colette obešla ogrodzenie. W tylnej jego części odkryła w siatce niewidoczną z drogi dziurę. Zielsko sięgało jej aż do bioder i poparzyła sobie pokrzywą nogi.

Drzwi. Kiedy je pchnęła, ustąpiły, wyważone już wcześniej innymi rękami, „...wróciłem na melinę...” - powiedział przecież Marsylczyk.

Mroczny korytarz. Nie ma mowy, żeby otworzyć okiennice. Wystarczyłoby, żeby ją tu zastał patrol żandarmerii, a znów trafi do więzienia. Najście domu w trakcie zwolnienia tymczasowego...

Oczy Colette przyzwyczyły się do ciemności.

Dom cuchnął pustką. Od pobytu w więzieniu wiedziała, że wszystko ma swój zapach: włosy, umywalki, ubrania i bawełna, wełna i skóra, ciało i gips, wszystko. Każde mieszkanie i każda cela. Tutaj pachniało pleśnią i pustką. Nic. Ani śladu życia, ani jednego sprzętu. Tylko plamy saletry, widoczne nisko na ścianach.

Opukała przepierzenia. Obcasem zbadła deski. Ściany i podłoga były lite, nie znalazła nic podejrzanego, żadnego schowka, gdzie można by ukryć jakiś przedmiot. Zbudowany na dawnym wysypisku dom nie miał piwnicy, nie było jej też w spichrzu.

W staroświeckiej kuchni wzdłuż licznika wędrował pająk. W miejscu na książeczkę opłat za elektryczność, za drewnianą tablicą, był zatknięty stary zeszyt. Dziś już elektrownie takich nie używają. Jedyne swojski przedmiot na tej podmiejskiej pustyni.

Colette wyciągnęła zeszyt, wzbijając tuman kurzu. Kichnęła. Zeszyt wypadł jej z ręki. Po okładce wędrował pająk. Colette strąciła go nogą i wówczas spomiędzy kartek wysunął się mały skrawek zielonego papieru. Tego samego formatu i koloru co bloczek do notatek, który w swym mieszkaniu w Paryżu trzymała pod telefonem.

Colette podniosła kartkę. Był na niej odręczny zapisek: Dzieła Sztuki i Bibeloty - Marianna Vasseur, a pod spodem adres na pchlim targu w Saint-Ouen. Poznała pismo Pietra.

\*

Gospoda pod Królewskim Węglarzem. Godzina największego ruchu przed kolacją. Fernand podaje mi bez słowa kieliszek śliwowicy.

- Wyglądasz, jakbyś tego potrzebował.

Wypijam duszkiem i daję znak, żeby mi dołał.

- Widziałeś się z Nyżą? Szuka cię.

- Znowu? Co się stało?

- Nie mam pojęcia. Powiedział tylko: „Nie ma tu Didiera? Powiedz mu, że chcę się z nim zobaczyć”.

Przy barze Renegat i Jean-François wymieniają poglądy na temat Żydów: kawiarniane rozmowy, których tylko okruchy docierają do mnie, kiedy na chwilę zapadnie cisza. Cały lokal słucha naszego pisarza.

- Naprawdę jesteś kretynem, nigdy nic nie rozumiesz. Żydzi są jak Oceania, wszyscy o niej mówią, ale nikt jej nie zna.

Daję znak Fernandowi. Napełnia kieliszki. Jean-François peroruje.

- Nie ma żadnego problemu żydowskiego, tłumoku. Jest tylko problem, który Żydzi wloką za sobą. Jest to problem sprzedaży.



Renegat Kautski z błyszczącym okiem sączy piąty kieliszek calvadosu i czeka na dalszy ciąg.

- Tak, dramat Żydów polega właśnie na tym: nie potrafią się sprzedać. Mają zdumiewające pomysły, nie ma co gadać, ale co z nich robią? Pozwalają, żeby zajęli się nimi inni. Wynajdują monoteizm, a Rzym przejmuje to na swoje konto. Tworzą marksizm, a jego marketing pozostawiają Stalinowi. A rozpowszechnianie idei prostego i genialnego Freuda powierzają Lacanowi, że nie wspomnę już o reszcie. To sami alchemicy: dajesz im złoto, a robią z niego gówno. Jak więc Żydzi mają mieć problemów? Rozumiesz, stary rasisto?

- Ja jestem rasistą?! Przenigdy! Przecież mam nawet przyjaciół antysemitów - obrusza się Renegat.

- Hej, Fernandzie, daj się napić temu cholernemu idiocie, inaczej znowu palnie jakieś głupstwo.

Mówię w duchu, że Jean-François powinien pisać, ale przypominam sobie w porę, że jest pisarzem.

Czas płynie. Myślę o Marii. Pijacy rozchodzą się. Czekam na Loïcka. Trudno, zjem kolację sam, przywykłem do tego.

Cécile przyjmuje moje zamówienie i przynosi mi specjalność dnia, domowy kotlet.

Loïcka ani widu, ani słychu. Co porabia ten wariat?

Kończę już jeść, kiedy drzwi się otwierają. Staje w nich jakieś czupiradło ze zmierzwionymi, siwiejącymi włosami, w podartym odzieniu. Cała twarz we krwi. Loïck! Czy ten nieszczęśnik to mój impresario?

Postać robi parę kroków do przodu, chwieje się, próbuje oprzeć się o stolik i osuwa się na podłogę, tuż przed barem.

\*

Pogotowie, jazda na sygnale, szpital.

Nieprzytomnego, leżącego na noszach Loïcka pielęgniarki taszcza przez korytarz.

Fernand dotrzymuje mi towarzystwa i częstuje gitarami. Przypominam sobie, co kiedyś powiedział Nyża: „W moim wieku dni stają się coraz krótsze”. Czekanie w szpitalu pod salą operacyjną daje efekt dokładnie odwrotny. Czas, intensywność, ciężar gatunkowy godzin ulegają podwojeniu.

Wreszcie wychodzi lekarz.

- Wszystko w porządku. Pański przyjaciel miał szczęście, obyło się bez urazu czaszki, ale na ciele ma pełno krwiałków, a nos w proszku, dołożono mu gumową pałą. Ale jego życiu nie zagraża niebezpieczeństwo. Oddamy go panu za kilka dni.

Wracamy do bistra. Fernand trafia w dziesiątkę, pytając:

- Kto i dlaczego?

Zaczynam się zastanawiać. Porachunki zawodowe? Możliwe. Niech podniesie rękę aktor, który nigdy nie życzył śmierci swemu agentowi. Ale od tych pobożnych życzeń do czynu...

Kobieta? Mało prawdopodobne. Ten niedorajda Loïck jest wierny jak bluszcz.

Polityka? Loïck jest centrystą. Nie zabija się kogoś, kto jest przejrzysty, po prostu nie zwraca się na niego uwagi.

- A może to zamach na tle rasowym? - sugeruje Cécile. - Przecież Loïck jest pół-Żydem.

- I właśnie dlatego zabili go tylko w połowie - replikuje rozjuszony Fernand.

Cécile wzrusza ramionami i zmyka do kuchni.

Myślę o Marii. Czy nasze śledztwo jest komuś nie na rękę? Laurence? Pragnie tylko pomóc swojej córce. Lei Mancini? Jej matka, z którą rozmawialiśmy, sądzi, że jesteśmy po prostu gliniarzami i niczym więcej.

Siedzę pod Królewskim Węglarzem aż do zamknięcia. Przybity, wracam do domu przez opustoszały Paryż.

Roztrząsam jeszcze raz całą sprawę. Zasypiam o świcie.

\*

Pozwolono mi odwiedzić Loïcka, otwieram więc drzwi do jego pokoju.

Siedzi na łóżku, całą twarz ma w bandażach. Widać tylko oczy i usta. Pozdrawia mnie gestem i wskazuje jedyne krzesło, jakie jest w pokoju.

Z tego pokrytego opatrunkami tłumoka dochodzi do mnie jego odległy głos.

- Co ci się przydarzyło? - pytam.

- Wstąpiłem, żeby zaproponować ci tournée na południu kraju. Nie zastawszy ciebie, zszedłem na dół. Jakiś gość czekał na mnie przy wyjściu, ukryty za dwoma sztucznymi fikusami, które zdobią twój korytarz. Zobaczyłem, jak jego prawa ręka podnosi się - i zrozumiałem. Moja matka mówiła zawsze: „Dawajcie, a będzie wam dane! - powiedziano w Piśmie Świętym”. Dałem mu kopa i dostałem pałą w głowę. Nie wiem, co o tym mówi Talmud czy Ewangelia, ale to cholernie boli.

- Mógłbyś opisać napastnika?

- Nie, panie komisarzu, ale mogę udzielić ci pewnej rady. Miej się na baczności, Didier. Facet, który mnie załatwił, na pewno pomylił adres. To oczywiste, że chodziło mu o ciebie. Widział, że pukałem do twoich drzwi, kapujesz?

Milczę. Z pewnością ma rację. Sprawa rozszerza się więc i nabiera nowego wymiaru: dlaczego ja?

- Kiedy cię stąd wypiszą?

- Chyba jutro. Możesz po mnie przyjechać?

Znów jestem na ulicy. Rozglądam się ostrożnie wokół i biorę kierunek na dom.

\*

Maria, melancholia. Ale to nie moment na poddawanie się nastrojom. Chwytam za gaśiorek od kuzyna Julusa.

Boli mnie głowa. Ktoś stuka do drzwi, Nie reaguję. Pukanie nie ustaje. Zrezygnowany, wyłażę z łóżka.

- O co chodzi?
- Telegram.

Nie był to nikt z poczty. Chyba że listonosze chodzą teraz parami, aby zmniejszyć bezrobocie. Dwa chłopy jak dęby, z całą pewnością urodzone pod znakiem Colta, na dodatek pod silnym wpływem Beretty, o ile znam się na broni palnej. Nie potrzeba im zresztą żadnej artylerii, jeden z tych atletów mógłby staranować drzwi, a mnie razem z nimi. Przypomina mi się przygoda Loicka i mówię sobie w duchu: „Nie dawaj, bo będzie ci dane”.

- Czego chcecie?
- Porozmawiać z panem.

Czekam. Większy z olbrzymów siada w fotelu przy magnetofonie - marki Sony - służącym mi do uczenia się ról.

- Dziękuję, że poprosił pan, bym spoczął.

Wyciąga rękę i naciska na klawisz. Rozlega się mój głos w drugim akcie Hamleta: „Witaj, Rozenkranc, witaj, Gildensternie!”

Olbrzym uśmiecha się, słucha przez moment.

- Dobry pan jest, no, no! Ale nie przyszedłszy tu, by podziwiać pańskie role. Ma pan interesujące nas dokumenty, panie Valois. Proponuję zatem, by oddał nam pan te papiery, a my nie będziemy robić panu żadnych wstrętów. Nigdy już pan o nas nie usłyszy. W przeciwnym wypadku...

Oczekiwałem czegoś innego i przychodzi mi na myśl, że nie spodoba im się moja odpowiedź.

- W przeciwnym wypadku co? Nie mam pojęcia, kim jesteście, zbiliście na kwaśne jabłko mego impresaríá, a teraz zjawiacie się i żądacie jakichś dokumentów, o których nigdy nie słyzałem. Możecie mi to jakoś wyjaśnić?

Mniejszy olbrzym opuszcza swój posterunek przy drzwiach i podchodzi do fotela, w którym siedzi jego kompan. Większy olbrzym bawi się magnetofonem. Mój głos to pojawia się, to znika. Gram Hamleta jękałę.

„Cóż to? Szczur? Bij, zabij szczura! Ten sztych dukata wart”.

Mniejszy wyciąga w moim kierunku paczkę papierosów. Kręcę przecząco głową.

- Dość tego! Nigdy nikogo nie zbiliśmy. Przy najmniej tutaj - dodaje z uśmiechem. - A pański impresario nie jest znany redakcji. Nazywam się Louis Horace, a to mój przyjaciel Joseph, szef firmy świadczącej wszelkiego rodzaju usługi: ochrona mienia i ludzi, przewożenie gotówki itd. Kapuje pan?

Kapuję, niestety.

Podaje mi wizytówkę, na której czytam: „HORACE. USŁUGI”.

- Jesteście tak zwanymi goryłami?

Na twarzy mniejszego olbrzyma pojawia się szeroki uśmiech.

- Chyba można nas tak nazwać, prawda, Josephie?

Tamten potakuje głową i znów włącza magnetofon. Tym razem gram Otella.

„Tak, ludzie być winni tym, czym się wydają”. Louis Horace wyłącza magnetofon.

- Jesteśmy zatem goryłami i chcemy dostać te papiery.

- A na jakiej podstawie sądzicie, że mogą być tutaj? Nic mi nie wiadomo o waszych papierach.

- Przestań pan kręcić. Frédéric Cheney może nie wiedział o pańskim romansie z jego żoną, ale my - owszem. Jest pan jedynym człowiekiem, któremu powierzyłaby te akta.

- Zaczyna mnie pan nudzić, Horace. Nie wiem nawet, o czym pan mówi. Przeszukajcie dom. Możecie przewrócić mieszkanie do góry nogami, jeśli macie ochotę. Założę się, że poza rachunkami do zapłacenia i tekstami, których się uczę, nie znajdziecie tu żadnych papierów.

Muszę przyznać, że rzadko się zdarza, by posłuchano mnie równie szybko.

Dokładnie, bez widocznego pośpiechu, wszystko otworzyli, wszędzie zajrzeli, wszystko opróżnili i wszystko przeszukali: szuflady, klasery, kredens - niczego nie pominęli.

Patrzę zrozpaczony na morze papierów na podłodze. Istny potop. Uporządkowanie tego rozgardiaszu zajmie mi wiele tygodni.

Po skończeniu rewizji większy olbrzym opada na mój ulubiony fotel.

- Żarty się skończyły, mały. Jeśli nam nie pomożesz, czekają cię poważne nieprzyjemności. OK, wydaje się, że rzeczywiście tych dokumentów tu nie ma; skup się i przypomnij sobie wszystko, co mogła ci powiedzieć Maria, zanim ją aresztowano.

- Maria nie ma nic wspólnego z waszymi aferami. Zgoda, jest moją kochanką. I co z tego? Co was to obchodzi? Należycie do ligi cnotliwych? Musicie mówić do mnie *per ty*? To wymóg zbiorowego układu pracy goryli?

- Nie, mały, ale lubię to. Masz rację, nie interesujemy się historiami łóżkowymi, ale czymś innym. Znasz Fabrette'a?

- Z nazwiska, jak wszyscy.

- Maria nigdy ci o nim nie opowiadała? No, mały, skup się.

Milczałem i milczę nadal.

Horace daje znak. Jego kumpel wstaje i zbliża się do mnie.

- Jeśli coś sobie przypomnisz, dzwoń natychmiast. Numer masz na wizytówce Horace'a. Na razie *ciao*, mały. Uważaj, jak przechodzisz przez ulicę.



## ***Rozdział VII***

Odbieram Loïcka ze szpitala. Wygląda jak Ramzes w sarkofagu na chwilę przed zdjęciem bandaży.

Wykazuje najwyższe zainteresowanie moim spotkaniem z olbrzymami. Oczy błyszczą mu w szparach opatrunku, kiedy je relacjonuję.

- Czy wiesz - mruży - jaka jest różnica między Bogiem a polskim Żydem? Nie? Przecież to proste: Bóg wie wszystko. Polski Żyd także... ale lepiej.

Puszczam na chwilę kierownicę i gestem pokazuję, że nie rozumiem.

- Nie kapujesz? Zaraz ci wyjaśnię... Czy wiesz, co w Żydach ze wschodniej Europy rozwinęło ducha kontestacji i pozwoliło im przetrwać pogromy, klimat i własne matki? *Gefilte fish*\* po polsku. Wytłumaczył mi to ojciec. *Gefilte fish* po rosyjsku to bardzo smaczne danie, słone i pieprzne. A po polsku to ohydna potrawa.

\* *Gefilte fish* - faszzerowana ryba, zwykle karp lub szczupak.

Jest słodka! Słodka, rozumiesz, do ryby dodają cukru! Doprawdy, tylko w Polsce można było wymyślić taką recepturę. I cała inteligencja polskich Żydów bierze się właśnie stąd: chcieli znaleźć jakiś sposób, żeby „tego”

nie jeść! Dzięki tej akrobacji umysłowej, tej gimnastyce intelektu, Żydzi ze wschodu nie tylko dorównali samemu Bogu, ale go jeszcze prześcignęli!

- Rozumiem, ale co ma twoja ryba po polsku do naszej historii?

- To proste. Jeśli znasz historię o słodkim *gefllte fish*, wiesz, o co chodzi. Nie bez kozery Kafka napisał *Proces* i *Kolonję karną*, natomiast my ryzykujemy dla Marii życie, nie wiedząc nawet dlaczego.

Słucham, a on ciągnie dalej:

- Wszystko sprowadza się do tego, żeby zrozumieć, dlaczego tak bardzo kogoś interesujemy. Sprawa rozpoczyna się od śmierci Cheney'a. Z nie znanych nam przyczyn istnieje jakiś związek między nami a tym morderstwem. Musimy więc pójść tropem adwokata. Oczywiście w odwrotnym kierunku; zacząć od jego śmierci i odtwarzając jego ostatnie godziny bądź dni, dojść do mordercy. Co wiemy o zmarłym?

Był zręcznym prawnikiem z gatunku spryciarzy, który nie ruszając się z kancelarii organizował, załatwiał i zlecał różne kradzieże. Nie zapominaj, że właśnie o tej działalności mówiła nam jego teściowa.

- Żona również.

Potakuje głową i krzywi się.

- Jego kariera zaczęła się od sprawy Fabrette'a i Chomela. Może od tego zaczniesz? Przykro mi, ale będziesz musiał popracować sam. Ja, niestety, przez dłuższy czas będę chyba nie do użytku.

Zostawiam Loïcka w domu. Jego żona wie o wszystkim i wraca dziś wieczorem, żeby się nim opiekować.

- Informuj mnie o wszystkim, Didier, zrobię co w mojej mocy, żeby ci pomóc. A przede wszystkim uważaj na siebie.

Żegnam się. To już druga osoba, która radzi mi mieć się na baczności. Pierwszą był Joseph, ulubiony kamrat Horace'a.

\*

Szukam na moim minitelu\*. Już mam: Fabrette i Chomel, zakłady mechaniczne, ulica Claude'a Courchaya w Montreuil.

\* Minitel - mały komputer zastępujący książkę telefoniczną.

Jeszcze jedna rozdzielona para, gdyż Fabrette nie żyje, zamordowano go. Na szczęście jest jeszcze Chomel. Wyprowadzam moją renówkę z parkingu i wjeżdżam na obwodnicę.

\*

Willowa ulica na przedmieściu. Staroświecka fabryka o częściowo oszklonych dachach i poczerwiałych murach.

W budce przylegającej do bramy, zbudowanej z mocnych prętów, siedzi człowiek w szarym uniformie.

- Pan do kogo?

- Chcę się zobaczyć z Antoine'em Chomelem.
- Jest pan umówiony?
- Nie. Ale mam ważną sprawę.

Jeśli się wcześniej nie umówiłeś, nie będziesz przyjęty. Wynocha! Nie ma tu nic do oglądania! Poza głową cerbera w oszklonym bunkrze.

- Jestem przedstawicielem firmy - wyjaśniam - w której był ubezpieczony pan Fabrette. Proszę zawiadomić pana Chomela, że chcę z nim porozmawiać. Niech się pan pospieszy!

Mam wrażenie, że przez chwilę strażnik stał na baczność. Urosłem w jego oczach, ale jeszcze się waha. Patrzę na niego, nie ruszając się i nie nalegając, jakby było oczywiste, że moje życzenie zostanie spełnione.

Sięga po telefon.

Nie słyszę, co mówi. Po chwili odkłada słuchawkę.

- Może pan wejść. Pójdzie pan aleją do recepcji, znajdzie ją pan bez trudu, jest tabliczka.

Idę asfaltową aleją obsadzoną platanami. I co za niespodzianka - widzę olbrzymów, mniejszego i większego, którzy wysiadają z samochodu jakieś dwadzieścia metrów ode mnie. Chowam się za drzewo.

Obaj atleci kierują się ku fabryce i - przez nikogo nie zatrzymywani - przechodzą przez recepcję. Mam nadzieję, że mnie nie widzieli.

Drogę zagradza mi kontuar ze sztucznego marmuru: „Recepcja”. Wszędzie - na dworcach, w bankach, w metrze - znajdziecie dzisiaj kobiety i mężczyzn

urzędujących pod magicznym napisem: „Recepcja”. Tylko dozorczy cementarni, strażnicy więzienni i babki klozetowe nie mają jeszcze tego znaku jakości. Ale niechybnie wkrótce go dostaną. A jak dawano sobie radę, zanim wynaleziono tę instytucję? Zostałem więc przyjęty, wysłuchany, skierowany. Kojarzy mi się to z okresowymi badaniami w komisji poborowej. Winda. I wreszcie samo jądro gęstwiny: gabinet Chomela, dla bliskich - Antoine'a.

Dlaczego wyobrażałem go sobie jako małego starszaka? Mam przed sobą wysokiego, jasnowłosego zucha o żywym spojrzeniu, modnym wyglądzie. Wita mnie i prosi, bym usiadł.

- Przypuszczam, że chodzi o coś ważnego, skoro zjawia się pan nie umówiony?

- Istotnie. Reprezentuję firmę „Kosmos. Ubezpieczenia na życie”. Pański wspólnik był naszym klientem. W przypadku gwałtownej śmierci ubezpieczonej u nas osoby zawsze wszczynamy śledztwo. Czy może nam pan pomóc?

- Chętnie. Co pana interesuje?

- Proszę mi opowiedzieć o panu Fabrette. Co pan o nim wie? Mam na myśli również życie prywatne. Oczywiście do naszej wyłącznej wiadomości.

Antoine uśmiecha się i częstuje mnie papierosami.

- JAF, jeśli pan woli: Jean-Auguste Fabrette, i ja należeliśmy do innych generacji. Pracuję tu dopiero od dwóch lat. Odziedziczyłem udziały po ojcu, który razem z Jeanem-Auguste'em założył tę firmę. Ci panowie

świetnie się rozumieli. Ja skończyłem studia, natomiast Fabrette był samoukiem, więc musiało dochodzić między nami do spięć. Niekiedy nie podobały mi się jego archaiczne metody, których nauczył się na placach budowy. Cele kapitalizmu nie zmieniają się, ale inne są dziś sposoby kierowania i zarządzania przedsiębiorstwem. W gruncie rzeczy śmierć JAF-a jest wszystkim na rękę. Kto jest beneficjentem jego polisy ubezpieczeniowej?

- Nie wolno mi tego zdradzić, przynajmniej na razie.

Gaszę papierosa, zapalam kolejnego i postanawiam uderzyć wprost.

- Tu polisa, tam policja... Niech mi pan coś powie na temat osobistej policji Fabrette'a, jego straży przybocznej.

W oku Chomela pojawia się błysk.

- Skąd pan wie, że JAF miał swych pretorianów, jak ich nazywają w związkach zawodowych?

- Jesteśmy jego firmą ubezpieczeniową. Czy wzięłby pan na siebie ryzyko, nie sprawdzwszy uprzednio, co pan kupuje, panie Chomel?

Telefon. Chomel słucha, kiwa głową, odkłada słuchawkę.

On także pali. Jego spojrzenie nieruchomieje i już mnie nie opuszcza.

- Dlaczego interesuje pana straż przyboczna JAF-a? I co to właściwie za towarzystwo ubezpieczeniowe?

- „Kosmos. Ubezpieczenia na życie”. Interesuje

nas wszystko, co dotyczy Fabrette'a. To moja firma będzie płacić, proszę o tym nie zapominać, panie Chomel.

Z głową w obłokach dymu wybucha rubasznym śmiechem, który zwykle się nazywać chłopskim; nic biedniejszego, nigdy nie widziałem, by chłop się śmiał.

- Mówiono mi prawdę, jest pan rzeczywiście doskonały, panie Didier Valois. W czym pan obecnie gra?  
Milczę.

Chomel pochyla się ku mnie.

- Komedia skończona, Valois. Wiem, kim pan jest. Powie pan wszystko jak na spowiedzi, w przeciwnym razie...

Czuję, że coś mnie dławi w gardle, ale postanawiam iść na całość.

- W przeciwnym razie wypuści pan na mnie swoje brytany? Którego z nich? Pięknego Horace'a czy lirycznego Josepha?

Znów się śmieje.

- O, nie jest pan taki głupi, jak myślałem. Czego pan chce? Sądzę, że możemy dojść do porozumienia.

Do porozumienia? Świetnie, ale w jakiej sprawie? Postanawiam zaatakować.

- Chcę dostać mordercę Cheney'a.

- Dlaczego? Pozbył się pan niewygodnego męża, powinien pan skakać z radości.

- Nigdy nie skaczę z radości po śmierci człowieka, nawet jeśli był łajdakiem. Dopóki morderca Frédérika

Cheneya będzie na wolności, dopóty Maria Cheney pozostanie w więzieniu. A nawiasem mówiąc, czy może mi pan powiedzieć, dlaczego wygarbowaliście skórę memu impresariowi?

- Nie mam nic wspólnego z napaścią na pańskiego impresaria.

- Dlaczego nastął pan na mnie swoich goryli? Myślał pan, że się przestraszę?

Jego głos dochodzi do mnie zza obłoku dymu. Przypatruje mi się w milczeniu spod przymrużonych powiek.

- Jest pan idealistą, panie Valois, co mi się podoba; w pierwszej kolejności wiesz się zawsze marzycieli. Rzeczywiście posłałem do pana Louisa Horace'a. Czy powiedział panu, co chcę dostać?

- Tak, ale ja tego nie mam. Czy mógłby mi pan powiedzieć coś więcej?

Nowa aureola dymu wokół twarzy.

- Zaufam panu, Didier. Jeśli mnie pan zdradzi, zajmie się panem Horace i spółka. Chcę, żeby mi pan dostarczył dokumenty, zebrane przez Cheneya, na temat firmy Fabrette i Chomel. Kazałem Horace'owi przeszu-kać po cichu kancelarię Cheneya, ale niczego nie znalazł. Joseph odwiedził natomiast rodziców naszego adwokata, oczywiście tak, że o tym nie wiedzieli. Też bez rezultatu. A ja wiem, że dokumenty te istnieją. Dobrze zapłacę za ich odnalezienie.

- Już panu powiedziałem...

- Proszę milczeć! Wiem dobrze, co mi pan powiedział. Możliwe zresztą, że pan nie kłamie. Jeśli tak,



proszę poszukać dokumentów i dostarczyć mi je.

- Co za to dostanę?
- Pomogę panu odnaleźć mordercę Frédérিকা.

Tym razem ja wybucham śmiechem.

- Nawet jeśli jest nim pan?
- Niech pan nie udaje durnia, to nie ja.

Pstryknięcie zapalniczką. Znow bierze papierosa.

- Co jest w tych dokumentach?

Po raz pierwszy mam wrażenie, że się waha. Uspokajam go.

- Proszę się nie bać, jeśli je znajdę, przecież je przeczytam.

Teraz on wyklada kawę na łąwę.

- Na pewno wie pan, że w przemyśle nie wszystko jest łatwe. Konkurencja bywa ostra, nie zawsze lojalna. Przed dwoma laty uczestniczyliśmy we wznoszeniu pewnej budowli w jednym z krajów wschodniej Afryki. Podczas przeprowadzania prób pękła nieduża belka. Rezultat: dwunastu zabitych, w tym trzech naszych specjalistów. Na szczęście byliśmy wysoko ubezpieczeni, ale związki zawodowe szalały.

- Niech się pan postawi w ich sytuacji.

- Na szczęście w niej nie jestem. A więc dochodzenie w tej sprawie prowadził dla naszej firmy Frédéric Cheney.

- Dlaczego nie policja?

- Jest pan naiwny czy tylko pan udaje? Wie pan, jaka jest policja w krajach Trzeciego Świata? Naturalnie dostała bakszysz i stwierdziła, że to wypadek. Ale ja byłem pewny, że to sabotaż.

- Kto miałby się go dopuścić?  
- Odpowiedź znajduje się w dokumentach Cheney-a. To wewnętrzna sprawa firmy. Kiedyś Frédérikowi udało się złamać strajk w naszej fabryce. Ja tu jeszcze wtedy nie pracowałem. Od tej pory związku domagały się głowy Cheney-a i Fabrette'a. Symbolicznie, oczywiście, ale wiem od Horace'a, że nikt nie opłakuje ich śmierci.

- A jeśli zabójcą Frédérika Cheney-a jest Horace, czy wyda go pan wymiarowi sprawiedliwości?

- Oczywiście. Więc jak będzie z tymi dokumentami?

- Postaram się je dla pana zdobyć. Ale uprzedzam, jeżeli jest pan zamieszany w to morderstwo, niech się pan strzeże.

Znów się roześmiał i wyciągnął do mnie rękę.

- Umowa stoi, proszę przybić.

Przybiłem, skoro to było konieczne.

\*

Pietro leżał w ciemności z otwartymi oczami i patrzył w róg sufitu.

Przez otwarte okno dochodziły odgłosy nocy. W ogrodzie panowała zupełna cisza, przerywana czasem szczekaniem psów lub szelestem skrzydeł drapieżnego ptaka spadającego na swą ofiarę.

Chiglione, który miał duszę mieszczaucha, nienawidził tych dźwięków. Nareszcie nadchodził świt, więc

Pietro wstał, zapalił pierwszego tego dnia papierosa i poszedł do kuchni.

Zaparzył podwójną porcję kawy i wypił trzy filiżanki, jedną po drugiej.

Pianie koguta przeniosło go w przeszłość, do Honfleur, do normandzkiego, łagodnego krajobrazu, do Rogera. Pragnienie, by zobaczyć dziecko, przytulić je do siebie, poczuć jego zapach, stało się nie do zniesienia. Zawsze go dziwiła czułość, jaką żywił dla syna.

Pietro włożył szorty i koszulkę polo i ruszył na długi jogging wzdłuż brzegu Marny. Dom był oddzielony od rzeki tylko ścieżką porośniętą trawą. W podobne dni w okolicy roiło się od amatorów wędkowania, ale samochody rzadko podjeżdżały do brzegu.

Tę nie wyróżniającą się niczym szczególnym willę, w spokojnej wsi koło La Ferté, Włoch wynajął na rok, na wypadek gdyby po jakiejś wpadce trzeba było wycofać się na z góry upatrzone pozycje.

Biegł. Wdychał głęboko poranne powietrze i czuł, że ciało jest posłuszne każdemu jego pragnieniu. Była to odwrotność tego, co czuł przy stole do gry, kiedy każdy ruch krupiera lub któregoś z partnerów podkreślał jeszcze samozadowolenie z powolnej destrukcji. Tylko dlatego uwielbiał wygrywać, że potem przegrywał z jeszcze większą przyjemnością, intensywnością.

Pod topolą wykonał parę ćwiczeń, po czym ułamał gałąź orzecha. Oberwał liście i rozłożył je na ziemi. Odwracał je kolejno i każdy zielony płatek zmieniał się

w kartę do gry: dziesiątka, walet, dama, król, as! Wszystkie w tym samym kolorze, sekwens! Znów ogarnęła go gorączka, owo palące uniesienie, w którym żył między dwoma skokami. Zapragnął kobiety.

Kopnął liście orzecha i zanurzył się w zieloną toń rzeki. Przepłynął dwadzieścia sążni, wyszedł na brzeg i uspokojony pobiegł w kierunku domu.

Prysznic. Czarna kawa. Znowu był przy forsie, mógł czekać na powrót Colette.

Gdyby Marsylczyk nie deptał mu po piętach, wszystko byłoby po prostu wspaniałe. Szuka go policja, zgoda, ale co właściwie ma przeciwko niemu? Ofiarował Colette rzeźbę pochodzącą z kradzieży... Ale to wcale nie świadczy, że jest złodziejem. Natomiast Paul nigdy mu nie daruje, a sto tysięcy franków, które ostatnio wygrał, nie wystarczy na zaspokojenie współnika. Zresztą on także miał z nim porachunki. Paul Bonal, Marsylczyk, był jedynym człowiekiem, który wiedział, że „Klown” znajduje się u niego w domu.

Dokończył toalety i włożył do kieszeni ostatnią wygraną. Wkrótce mknął samochodem wzdłuż brzegu Marny. Wiatr marszczył wodę i przynosił zapach jodu. Honfleur? Nie... Marna. Uśmiechnął się, wjeżdżając na wschodnią autostradę.

Paryż, obwodnica. Miał ochotę wstąpić do domu, ale natychmiast z tego zrezygnował.

Colette wychodziła z jego życia w nieprzewidziany sposób. Uświadomił mu to jej pobyt w więzieniu. Ich

historia kończyła się w tym miejscu, a podarowanie jej „Kłowna” stało się w istocie prezentem pożegnalnym. Był jeszcze Roger. A to...

Droga do Rouen.

Wjechał do Deauville.

\*

Colette dotarła do Saint-Ouen i skierowała się w stronę pchlego targu. Dokoła przelewał się niedzielny tłum, tym większy, że nieustannie dopływała fala japońskich i amerykańskich turystów. Jak się nazywa pchli targ w Kyoto czy Dallas?

„Dzieła Sztuki i Bibeloty” miały swe stoisko w tej części bazaru, która nazywała się Malik. Wśród wazonów, żyrandoli i wyrobów z brązu, stanowiących główny asortyment firmy, krzątały się dwie kobiety. Wmieszana w klientelę Colette przeszła od autentycznego Gallé (szalone pieniądze!) do stojącej lampy z Murano, wciśniętej między dwie grupy rzeźbionych lwów w stylu 1925.

Podeszła do niej jedna ze sprzedawczyń.

- Czy pani czegoś szuka?

- Tak. Marianny Vasseur.

Młoda kobieta dała znak swej towarzysze, opartej o mebel pokryty odpadającym lakierem.

- Marianno! Ktoś do ciebie.

Blondynka o różowej cerze i zmarszczkach wokół oczu, zapowiadających bliską czterdziestkę, podniosła

głowę. Miała bardzo jasne oczy, obramowane firanką rzęs tak długich, że Colette pomyślała, iż chyba są sztuczne.

Kobieta podeszła; wydawało się, że idąc przelewa się z biodra na biodro niewinnymi, a zarazem zmysłowymi ruchami.

- Czym mogę pani służyć?

- Podano mi pani adres i powiedziano, że specjalizuje się pani w brązach. Szukam konkretnych rzeczy: brązu Gargalla „Klown” i popiersia Giacomettiego „Diego”.

Kobieta stała nieporuszona. Uśmiechała się.

- Rozumiem. To trudne zadanie. Potrzebuję czasu, ale nie mogę dać gwarancji, że uda mi się zdobyć te skarby. Sądzę, że orientuje się pani, ile mogą kosztować dzieła takiej klasy?

- Tak, ale o to może pani być spokojna, kupuję je dla amerykańskiego kolekcjonera.

Marianna Vasseur wzięła notes i srebrny długopis.

- Proszę o pani adres i telefon. Odezwę się, gdy będę miała jakieś wiadomości.

Colette podała jej swoje panieńskie nazwisko, Vinay, adres i numer telefonu.

Kobieta notowała pięknym, starannym pismem.

- Nie powiedziała mi pani, kto panią do mnie skierował?

- Dostałam pani adres od męża. Zrobiła pauzę, po czym dodała:

- ... mego byłego męża, Pietra Chiglione.

Marianna Vasseur napisała: Pietro... Ręka jej drgnęła, długopis spadł na podłogę i złamał się. Zwróciła się spokojnie do sprzedawczyni:

- Liliano, daj mi, proszę, długopis, mój się złamał.

Stała naprzeciw Colette z szerokim uśmiechem.

- Mam niewielu klientów takich jak pani, pani Vinay. Jestem do pani dyspozycji.

Colette skinęła jej na pożegnanie głową i wtopiła się w tłum.

Stojąca na progu „Dzieł Sztuki i Bibelotów” Marianna Vasseur odprowadzała ją wzrokiem.

\*

Była już noc, kiedy Pietro wyszedł z kasyna. Kolejny raz zanurzył się w bezkresny czas, odnalazł słowa i gesty ludzi uczestniczących w wielkiej mszy graczy.

Przeszedł mostem w kierunku Trouville i znalazł się na nabrzeżu. W jego rozpalonym ciele wibrowało jeszcze wszystko, co przeżył podczas tej partii. Znów zapomniał o bożym świecie... Wszyscy obecni skupili się wokół niego i przeżył godziny tak gorące jak centralne jądro planety zwanej Grą. Przez wiele godzin wygrywał, potem przegrywał - też przez wiele godzin.

Na nabrzeżu spowiła go wilgotna noc, pachnąca przyrywem, szlamem, pieniędzmi. Machinalnie poklepał się po kieszeniach i uśmiechnął się. Trzydzieści milionów starych franków! Wygrał trzydzieści tysięcy

franków, które poutykał po kieszeniach, w paczkach po pięć tysięcy.

Jego uwagę zwróciła jasna plama, jaką tworzyły światła parowców z radosnym tłumem wycieczkowiczów na pokładzie. Na kolację zjadł małże zakrapiane winem i wynajął pokój w jednym z hoteli w Deauville.

Rzucił paczki banknotów na łóżko. Ułożył z nich kompozycje przypominające bukiety. Z uśmiechem przechadzał się po pokoju, przyjmując defiladę swych regimentów, złożonych z żółtych banknotów z wizerunkiem Pascala. Jeszcze raz przeliczył pieniądze i wcisnął je do teczki, którą rzucił do jednej z szaf.

Wszystko zaczynało się układać. Zdobył środki, którymi będzie mógł skłonić Paula, by cierpliwie czekał. Da mu to czas - konieczny, żeby się porządnie odkuć i rozpocząć nowe życie. Poczul się odrodzony, silny i męski. Nie miał już najmniejszej ochoty spać sam. Wiedział, gdzie w Deauville może znaleźć dziewczynę. Usiadł przy telefonie.

\*

Przyszła pół godziny później i zmierzyła go wzrokiem z wysokości swych dwudziestu lat i pozycji luksusowej dziwki. Złoto jasnych włosów kontrastowało z miedzianym złotem opalonych i mocno odsłoniętych piersi.

Wypili szampana, gawędzili, znowu pili, bawili się w zapasy w stylu klasycznym i kochali się we wszystkich



językach Wspólnoty Europejskiej. I właśnie wtedy popełnił błąd: nie przestał pić. A skutkiem tego był drugi błąd: powiedział o swej wygranej.

Kiedy koło południa ocknął się z mocnego snu, był upalny dzień, słońce stało w zenicie. Był sam. Dziewczyna znikła. Jego teczka także.

Został mu portfel i dziewięć pięciusetfrankowych banknotów.

\*

Przyjechał do Paryża, bez problemu zaparkował samochód między mostami Sèvres i Babylone i skierował kroki do sklepu o staromodnej fasadzie pomalowanej na zielono-brązowo. Na szybie widniały jasne litery: „Laurence Villars. Antykwariat”.

Stojąca na wystawie biblioteka w stylu chippendale zachęcała przechodniów, by wstąpili do środka.

Pietro nie mógł powstrzymać podziwu na widok tak pięknego mebla i stał chwilę z wlepionymi w niego oczami. Ale nie po to tu przyszedł. Nacisnął klamkę.

## ***Rozdział VIII***

Za opuszczonymi zasłonami, w swym zamkniętym już i pustym stoisku na pchlim targu, Marianna Vasseur porządkowała serię alabastrowych posążków: były to przedmioty pochodzące z wykopalisk, wydarte piaskom Turcji.

Nic, co w archeologii pokątne, zarówno w zakresie kupna, jak i sprzedaży dzieł sztuki, nie było obce Mariannie Vasseur. Ale i bez tego „Dzieła Sztuki i Bibeloty” przynosiły jej dochód wystarczający na przyjemne życie.

Młodą kobietę pociągał nie tylko zysk. Prawdziwą rozkosz sprawiało jej obcowanie z rzadkimi dziełami, dotykane przedmiotów wykonanych przed trzema tysiącami lat, kontemplowanie piękna tak nienaruszonego, jakby z biegiem lat każda statuetka zanurzyła się w źródle wiecznej młodości. Tak, wiek odmładza owe cuda powstałe w okresie wojny trojańskiej, albo jeszcze wcześniej.

Marianna Vasseur zastanawiała się czasem, czy śni, czy też rzeczywiście, kiedy gładzi kamień, czuje pod palcami owo wibrowanie czasu.

Oczywiście liczyło się również to, że jej zawód

przynosił pieniądze. Mecenat i talent, majątek i dzieła sztuki idą w parze: przecież ktoś musi pośredniczyć między miłośnikami piękna... lepiej więc, żeby robiła to ona. W swojej pracy była perfekcyjna i kompetentna, ale czerpała także przyjemność z igrania z naiwnym klientem, z żonglowania milionami, nieustannego oscylowania między prawem a bezprawiem. Tak, kochała swój zawód do dnia, gdy Paul... Paul! Ten łobuz!

Wzruszenie sprawiło, że stała się niezręczna i w ostatniej chwili złapała statuetkę, która omal nie spadła na podłogę.

Swoją zawód zawdzięczała Laurence. Jak wszystko. Dzięki niej odkryła piękno, miłość, a także posłuszeństwo. Szkoda! Laurence niczego już od niej nie chciała. To właśnie ona poznała ją z Paułem Marsylczykiem, tą bestią w męskim ciele, tym głazem, który trzeba było nieustannie ociosywać i obrabiać, próbując wykrześć z niego jakieś uczucie, słowo, ludzki gest. Ostatecznie chyba właśnie to zafascynowało ją w Paulu: owa przepaść między jej wytwornym życiem a chwilami spędzonymi w łóżku z tym wstrętnym orangutanem. Nie, zwierzęta były już bardziej godne szacunku!

Promień słońca przebił się przez szparę w zasłonie i padł na jej rzeźby. Marianna Vasseur znieruchomiała i zafascynowana patrzyła, jak światło igra na marmurowej krzywiźnie, odbija się od łuku bioder, skacze po pełnych udach i wydłużonych muskułach, niewidocznych, a jednak tak obecnych w swej mineralnej powłoce.

Powoli ochłonęła i podeszła do telefonu.

Jak zwykle szybko podniesiono słuchawkę.

- Laurence? Musimy się spotkać.

Nie było żadnych pytań. Jak zwykle.

\*

Laurence zapaliła papierosa. Pytanie: jak pozbyć się drzazgi, która tkwi w ciele? Odpowiedź: wyciągnąć ją.

Od najmłodszych lat załatwiała swe problemy bez sentymentów. Kiedy miała trzynaście lat, panie z opieki społecznej umieściły ją w jakiejś rodzinie. Bardzo szybko odkryła, czego pragną mężczyźni i w jaki sposób postępować, by czuli respekt przed kobietą.

Wypuściła długą smugę błękitnego dymu i bezskutecznie usiłowała robić kółka.

Od wielu dni czuła, że Marcellin krąży wokół niej i wiedziała, o co mu chodzi. Świetnie przecież wiedziała, co robi ze swoją córką.

Wszyscy byli w polu. Laurence sama przygotowywała wieczorny posiłek. Postawiła talerze na stole i właśnie układała sztućce, kiedy poczuła, że ręka mężczyzny chwyta ją za kolano i sunie wzwyż po udzie. Miał szorstką, rozpaloną skórę. Laurence położyła ostatnią łyżkę i z uśmiechem odwróciła się do Marcellina. Ujęła rękę chłopca i podniosła ją do ust. On także się uśmiechał.

Jego krzyk jeszcze teraz brzmiał jej w uszach. Na zawsze zapamiętała wycie mężczyzny, gdy jednym zaciśnięciem szczęk odgryzła mu palec. Nawet w tej

chwili czuła ziemisty smak skóry, gorycz krwi, której czerwony strumyk wypłuła razem z częścią palca.

Laurence bardzo wolno, nozdrzami i ustami, wypuściła dym. Wydawało się jej, że błękitna smużka zmienia kolor i zaczyna przybierać barwę czerwieni.

Pietro chce pieniędzy? Czemu nie? Miała je, ale wiedziała, co będzie dalej. Marcellin... Pietro... A także jej zięć, ten palant; inteligentny, zgoda, ale palant. Ostatecznie, czemu nie miałby się od czasu do czasu zdarzyć jakiś inteligentny samiec? Nawet przyroda popełnia czasem pomyłki. Marcellin, Frédéric, Pietro... Stanowczo nie znosiła, by jakiś mężczyzna ośmielił się ją atakować. Liczył się tylko jeden, ojciec Marii. I właśnie ten idiota dał się zakatrupić, gdy w Algierii kończyła się ostatnia wojna; ostatni poległy ostatniego dnia ostatniej wojny! Ktoś musiał przecież nim być... Jedyne mężczyzna, który podał jej rękę... A więc można wygrać główny los na loterii. Na szczęście ma jeszcze Marię i Carole.

Telefon. Dzwoniła Marianna. Twarz Laurence straciła swój lodowaty wyraz. Lubiła Mariannę...

- Zgoda, spotkamy się po obiedzie.

Nie trzeba było ustalać miejsca. Obie wiedziały gdzie.

\*

Colette czekała w opustoszałym Saint-Ouen. Zatrzymała samochód na rogu ulic Michelet i Rosiers, skąd widziała wszystko jak na dłoni. Nikt nie mógł wyjść z

którejkolwiek z uliczek tak, by tego nie dostrzegła. Nie było to trudne: ruch był mały, a między zamkniętymi stoiskami kręciło się niewielu ludzi.

Od poprzedniego dnia nie odstępowała Marianny na krok i chodzenie za nią sprawiało jej przyjemność.

Tamta kobieta żyła. A ona, Colette, śledziła i powtarzała każdy ruch swej ofiary, stawiała się negatywem Marianny. Jak dotąd, bilans był zerowy: sklep z ciuchami, restauracje, galerie antyków. Spotkania wyłącznie z kobietami.

Colette zgasiła papierosa i uruchomiła silnik.

W jednej z uliczek ukazała się Marianna. Szła pod słońce, toteż pod ubraniem z cienkiego płótna widać było jej ciało. Co tu dużo mówić, Colette podobała się wybujała zmysłowość Marianny. Nie było w tym nic perwersyjnego, nic wykalkulowanego, ale każdy ruch Marianny był niczym erotyczny upominek.

Podczas pobytu w więzieniu nigdy nie odczuwała seksualnych potrzeb i jej towarzyszkii niedoli bardzo szybko przestały proponować jej swe usługi. Dla Colette miłość kojarzyła się z męczyzną. Zdziwiona swą reakcją, patrzyła na młodą kobietę, idącą ku fiatowi zaparkowanemu w dole ulicy.

\*

Clignancourt, Paryż, Barbès.

Samochód Marianny zgrabnie lawirował w zmniejszonym, lipcowym ruchu.

Przejechała na drugi brzeg Sekwany i zaparkowała za magazynem Au Bon Marché.

Colette szła za nią w odległości kilkudziesięciu metrów. Zobaczyła, że wchodzi do sklepu o zielonych ścianach. Był to antykwariat Laurence Villars.

\*

Czas zaczął się Colette dłużyć. Zjadła rogalik kupiony pośpiesznie w pobliskiej piekarni.

O mało nie straciła Marianny z oczu. Śledziła kobietę w sukni z surowego płótna, zdziwiła się więc, widząc, że z domu wychodzi dziewczyna w jedwabnej spódnicy do połowy uda, jednym z owych podkasanych ciuchów, które niewiele kryjąc, dużo pokazują. Bardzo wydekoltowana bluzka z angielskiej koronki odsłaniała krągłą pierś, która jakby usiłowała wyskoczyć z nad elastycznego, szerokiego paska ściskającego talię.

Polowanie zaczęło się od nowa: zawróciła w kierunku Montparnasse. Fiat zatrzymał się przed dawnym Raspail-Vert. Colette szukała miejsca do zaparkowania, ale na próżno. Nie chcąc tracić Marianny z oczu, zatrzymała się wśród aut w drugim szeregu.

Marianna skręciła w stronę Vavin. Colette jechała w pewnej odległości za nią. Wreszcie znalazła jakieś nie zajęte jeszcze miejsce i zostawiła samochód.

Idąc leniwym krokiem, Marianna dotarła do miejsca, które Colette dobrze знаła. Była to restauracja w starym

stylu, z marmurowymi stolikami i usytuowanym w środku barem. Na spłowiełej rolicie widniał czerwony napis: „U Boba”.

Colette, spłoszona, zatrzymała się. Nie ma mowy, żeby iść dalej. Ta kawiarnia była jednym z nielicznych miejsc, gdzie bywała z Pietrem.

Na bulwarze kupiła „Liberation” i ukryła się za płachtą gazety. Chroniona przed spojrzeciami, czekała.

Prawdę mówiąc, nie była zaskoczona, kiedy ich zobaczyła. Miała wrażenie, że od wyprawy do Saint-Cyr-l’Ecole wszystko zmierzało do tego spotkania. Marianna Vasseur oddalała się w stronę skrzyżowania, uczepona ramienia mężczyzny. A Colette znała pysk tej bestii: była to głowa Paula, Paula Marsylczyka.

Para zniknęła w jednym z hoteli przy ulicy Vavin.

\*

Colette postanowiła dać sobie spokój. Dalsze tkwienie tutaj nie miało sensu; wiedziała już, gdzie szukać Marianny.

Bez pośpiechu wróciła do samochodu i pojechała w kierunku antykwariatu. Ale drzwi zastała zamknięte.



## ***Rozdział IX***

Znów spotkałem się z René Vermontem, adwokatem Marii.

Nic pocieszającego: sędzia śledczy nie chce się zgodzić na tymczasowe zwolnienie. Jego zdaniem, Maria coś ukrywa. Co gorsza, i mnie się tak wydaje.

Loïck ma rację, trzeba wszystko zacząć od początku.

Gnam do domu Frédérika Cheney'a. Konsjerżka pa-trzy na mnie z góry.

- Wszystko powiedziałam policji - oświadcza z hiszpańskim akcentem.

Staram się jej przypodobać, przewracam oczami jak Cyd. Nic. Na próżno próbuję chwytów z romantycznego repertuaru, jestem Lorenzacciem, ale gdzie tam, gadaj zdrów! I jak zwykle zwycięża we mnie uczciwy Jago. Otwieram portfel i wyciągam stufrankowy banknot. Konsjerżka zezuje wprawdzie na pieniądze, ale jest niewzruszona. Wyjmuję pięćsetkę. To skutkuje. Wyciskam z niej ważną informację: kiedy popełniono morderstwo, widziała jakiegoś mężczyznę. Niestety, od tyłu.

- Jak wyglądał?

- Wielgachny. Jak posagowa szafa mojej matki. Rozumie pan?

Nic nie rozumiem. Niezbyt się znam na posagach panien młodych w Starej Kastylii.

Dozorczyni rozgrzewa się i opisuje potężnego faceta z ciemnymi, kręconymi włosami na karku, ubranego w dżinsy i płócienną bluzę.

- To morderca? Jest pani pewna?

Niestety, pewna jest tylko pięciusetfrankowego banknotu, który miętosi w palcach.

- Usłyszałam jakiś huk, trzy razy. Myślałam, że to motor. Poum! Poum! Poum!

Moja szczodrość kiedyś mnie zgubi. Teraz demonstruje mi również efekty dźwiękowe. Może konsjerżka jest córką bojownika POUM, starej anarchistycznej partii hiszpańskiej?

Babsko mówi dalej:

- Wysłałam i zobaczyłam jakiś cień podchodzący do samochodu.

- Jakiego samochodu?

- *Io no sé.*

Tym razem „Caritas-biznes” to ja. Druga pięciusetfrankówka. Ale szybko integrują się ci Hiszpanie! Ledwo co weszli do Wspólnego Rynku, a już zrozumieli jego finanse.

- Zielony peugeot.

- Jaka rejestracja?

- Nazywam się Concepción, a nie Rejestracion!

Znów nalegam, ale na próżno, naprawdę nie wie.

- A policja? Powiedziała im pani to wszystko?
- Oczywiście. Przed nimi nie warto niczego ukrywać, nie płacą. A poza tym pomagają, jeśli się im pomaga.
- Co takiego?
- Tak, pomagają w dostaniu karty pobytu.

Pomóż sam sobie, a niebo ci pomoże. To z Szekspira, mój drogi Watsonie. Dziękuję zacnej kobiecie i wstępuję do Nationalu na mocną kawę.

To także knajpka, do której chętnie zaglądam. Jedno z ulubionych miejsc Nyży, blisko ulicy Nélaton, gdzie kiedyś znajdował się, zburzony obecnie, Vélodrome d'Hiver. Przypominam sobie, że poprzedniego dnia coś mi o tym napomykał, ale ponieważ stary mówi często zagadkami, myślę, że warto jeszcze raz go o to spytać.

Przejazd naziemnego metra wprawia w drżenie moją filiżankę. Jeszcze jedna kawa. Teraz mogę iść do kancelarii mecenasa Cheney'a. To druga stacja mojej drogi krzyżowej.

\*

Zmiana dekoracji. Aleja Kléber w XVI dzielnicy. Dom z początku naszego wieku, kamień ciosowy, szerokie okna i balkon z kutego żelaza.

Cheney wynajmował kancelarię wspólnie z innymi adwokatami. Było to czterech rekinów palestry. Płacili za komorne i za całodzienną pracę uprzejmej recepcjonistki. Hostessy są zawsze młode i uprzejme. Jakie będą

za dziesięć lat? Co mnie to zresztą obchodzi, Maria gnije w więzieniu i tylko to jedno mnie interesuje.

- Chciałbym się zobaczyć z sekretarką mecenasa Cheney'a.

Lustruje mnie wzrokiem, a potem zaprasza, bym usiadł.

- Zaraz pana zapowiem. Pańska godność?

- Valois. Didier Valois.

Z aktorską pychą czekam na reakcję. Na próżno. Ile lat straciłem, czekając na rolę, na kobietę, na Godot'a czy na autobus? Lepiej nie myśleć... Zaczynam od Hegla, a kiedy hostessa powraca, jestem przy Kierkegaardzie.

- Zechce pan pójść ze mną.

Korytarze wyłożone dywanową wykładziną. Pachnie tu dorobkiewiczowskim luksusem albo pozorami, jakie lubią stwarzać faceci, którym nie udaje się wybić. Wykładzina zamiast sławy, to się zdarza. Wśród aktorów także, niestety.

Olbrzymie, mahoniowe, ministerialne biurko, a obok stół ze szklanym blatem, przy którym siedzi Janina Forget, sekretarka świętej pamięci Frédérica Cheney'a. Znam jej nazwisko od Marii. Ja w zasadzie jestem dla niej kimś nieznanym.

Bez zaproszenia padam na miękki fotel, obity czarną, podniszczoną skórą.

Szeroka twarz, ładnie podkreślone wiśniową szminą usta, oczy piwne, przenikliwe, okrągłe okulary, jakie

nosiły nauczycielki na początku naszego wieku; Janina Forget spogląda na mnie w milczeniu. Czeka. Postanawiam zacząć prosto z mostu.

- Jestem przyjacielem Marii Cheney i chcę jej pomóc wykaraskać się z tej tragicznej sytuacji. Czy pani może mi pomóc?

Jej nieruchome oczy ani drgną.

- Pomóc panu... Ale w czym?

- W udowodnieniu jej niewinności.

Ledwo dostrzegalne wzruszenie prawego ramienia.

- Czy w naszych czasach istnieją jeszcze ludzie niewinni, panie Valois?

- Nie przyszedłem tu filozofować, ale dlatego, że jest pani jedyną osobą znającą wszystkie sprawy, jakie prowadził pan szef. Niech mi pani pomoże znaleźć jakiś trop, bo właśnie tu, w tym gabinecie, zmarł mecenas Cheney.

Za okrągłymi okularami dostrzegam nagły protest.

- Zabito go, gdy wychodził z domu!

- Zgoda, ale właśnie tu, w tym gabinecie, wszystko wzięło początek. O śmierci pani szefa zdecydowało coś, co znajduje się gdzieś w jego aktach. Zawadzał komuś, to pewne.

- Dlaczego upiera się pan, że musiała to być sprawa zawodowa? Kto panu powiedział, że nie była to sprawa sercowa? Łóżkowa? Że nie chodziło o dupę... jak się to dzisiaj elegancko mówi?

Tym razem ja demonstruję zdziwienie.

- No, no...

Przerywa mi.

- Przecież pan, panie Didier Valois, był kochan-  
kiem Marii...

Mimo całego mego aktorskiego doświadczenia wi-  
dać, że cios był celny. Ręce mi wilgotnieją i czuję, że  
się rumienię.

- Ależ proszę pani...

- Chwileczkę!

Podchodzi do klawiatury komputera i bardzo szybko  
coś wystukuje. Urządzenie pracuje. Janina Forget odry-  
wa listing i podaje mi cztery kartki.

Grom z jasnego nieba. Wszystko tam jest. Mój ro-  
mans z Marią, opowiedziany długo i szczegółowo. Moja  
największa miłość, spisana laserem przez IBM. Niczego  
nie brak, absolutnie niczego, żadnej randki, żadnej  
eskapady, żadnego obiadu. Można by pomyśleć, że to  
notatki kogoś z nas, robione w pamiętniku po każ-  
dym ze spotkań.

- Skąd się to wzięło?!

- Od samego początku kazał was śledzić - w dzień i  
w nocy. Była to jedna z manii naszego Fryderyka Małe-  
go, uwielbiał śledzić, nieustannie śledzić swoich bli-  
skich, rywali, klientów. Miał duszę policjanta, taki już  
był.

- Jak na to wpadł?

Jej spojrzenie twardnieje.

- Tylko idioci i ludzie, którzy nie chcą o niczym  
wiedzieć, nie mają pojęcia, co robi ich partner.

- Czy gliny o nas wiedzą?

- Nie, nic im nie powiedziałam. Jeśli pisnę słówko, zaraz znajdzie się pan tam, gdzie Maria, ale nie w tej samej celi. Zakochani są sami na świecie, w więzieniu także.

Nagle załamuje się, zapala papierosa, natychmiast go gasi i zasłania twarz rękami. W mojej głowie również huczy jak w młynie.

- Pewien świadek widział mężczyznę wychodzącego z kamienicy, kiedy popełniono morderstwo. Mężczyznę, rozumie pani, nie Marię, lecz mężczyznę - i właśnie jego szukam.

- Może był nim pan? Dzięki śmierci Frédérika mógł pan mieć Marię już na zawsze... Kto odnosi korzyść ze zbrodni? Pytanie tak stare jak pierwsze morderstwo. Za wszystkim kryje się kobieta... Powiedzenie tak stare jak pierwszy kryminal.

Słyszając owo „Marię już na zawsze” czuję nagły lęk. „Zawsze” to przecież strasznie długo, ale jakie to ma znaczenie, gdy chodzi o miłość?

Krzyczę:

- Nie! To nie ja! I co gorsza, nie mogę tego udowodnić. Wierzy mi pani?!

Kiwa twierdząco głową. Znów pstryknięcie zapalniczki.

- Och, przepraszam.

Częstuje mnie gitanami. Lubię kobiety, które palą prawdziwe papierosy, a nie jakieś tam wysterylizowane słomki. Zaciągamy się w milczeniu i wkrótce gęsta chmura spowija pokój.

Jednym palcem podnosi okulary na czoło. Widzę

jasnopiwnie, prawie żółte oczy pod ledwo wyskubanymi brwiami. Janina Forget ma dużo wdzięku. Ze swym głosem, w którym często pobrzmiwają niskie tony, byłaby wspaniałą Desdemoną.

- Chcę zdemaskować mordercę i podejrzewam nawet, kto nim jest.

- Kto?

Piękna nauczycielka wzrusza ramionami.

- Niech pan najpierw sam do czegoś dojdzie, wtedy porozmawiamy i pomogę panu.

Urywa, a po chwili dodaje prawie niesłyszalnym głosem:

- Przysięgam.

Można by pomyśleć, że jesteśmy w sądzie. I nagle zdaję sobie sprawę, że jest tak w istocie. Janina Forget powtarza:

- Tak, chcę zdemaskować zabójcę. Kochałam Frédérika Cheney'a, choć ja byłam dla niego tylko sekretarką. Niczym więcej. O panu wiem tylko stąd - wskazuje palcem na komputer. - I miałam nadzieję, że Maria odejdzie z panem. Och, ile razy tego pragnęłam, ile razy...

Jej głos znów się załamuje.

- Pan i Maria byliście moją jedyną nadzieją. Chciałam tylko Frédérika, to wszystko. Taki był mój problem, ot co.

Znowu gitany, znowu zapalniczka. Ciekawe, człowiek dobrze się czuje w tym zasnutym siwym dymem gabinecie.



- Co pani wie o sprawie Fabrette'a?

Wynurza się ze swych marzeń i chmury dymu. Jedną ręką zsuwa okulary.

- Znów to samo? Kroczy pan fałszywą drogą, Didier Valois, podobnie jak gliny. Sprawa Fabrette'a nie ma żadnego związku z tym morderstwem.

- Przypuścimy, ale wiele osób stara się zdobyć akta dotyczące Fabrette'a i Chomela. Wiedziała pani o tym? Czy orientuje się pani, co w nich jest?

Jej palce zadają pytanie komputerowi. Podaje mi wypisaną na kartce odpowiedź: „Fabrette. X.Y.Z.”

- Co to znaczy?

- To wewnętrzny szyfr, który oznacza, że sprawa Fabrette'a nie należała do mojej kompetencji, bo była zastrzeżona wyłącznie dla szefa. Wbrew temu, co się panu zdaje, nie do wszystkiego miałam dostęp.

Idę z nią do maleńkiej, ciemnej klitki za gabinetem, gdzie króluje druga maszyna, szare urządzenie ze świecącym ekranem.

- To osobisty komputer Frédérika Cheney'a. Nigdy z niego nie korzystałam.

- Dlaczego?

- Tylko on miał do niego szyfr. W zasadzie kodu nie można złamać, ale tylko w zasadzie, bo gdyby tak rzeczywiście było, nie istniałoby piractwo informatyczne. Poza tym myślę, że gliniarze mogliby go rozpracować. Mają przecież do dyspozycji specjalistów z całego świata.

- Dlaczego tego nie zrobili?

- Zaczęli od tego, co najpilniejsze, i zadowolili się zabraniem papierów z gabinetu. Może pan być pewien, że kiedy się z nimi uporają, zainteresują się tą maszyną.

I to już niebawem.

Na wiszącej na ścianie drewnianej półce stoi kilka książek. Przedziwne zestawienie: pośród najróżniejszych słowników wciśnięty zbiorek Desnosa *Chantefables et Chantefleurs*, *Psychologia gracza szachowego* i *Le Livre du ça* Groddecka.

- Czy Frédéric grał w szachy?

- Tak. Chodził do klubu i bywał w specjalistycznej księgarni na lewym brzegu. Nic więcej na ten temat nie wiem.

Żegnam się. Znów jestem na ulicy, nie wiedząc właściwie, co o tym wszystkim myśleć. Jeszcze jedno fiasko. Ale tym razem zdobyłem nowego sojusznika. Mam zatem troje prawdziwych sprzymierzeńców: Laurence, Chomela i Janinę Forget. Wszyscy za mną przepadają, ale co za dużo, to niezdrowo, wcale mi się to nie podoba. Wygląda na to, że ktoś pragnie mnie spacyfikować. Mam przynajmniej o dwoje przyjaciół za dużo. Ale których?

\*

Ogród płonął w lipcowym słońcu.

Pietro leżał na brzegu rzeki w cieniu jesionu i usiłował policzyć, ile liści znajduje się w przestrzeni ograniczonej dwiema gałęziami. Znów grał.

- Jeśli będzie ich ponad sto, wygrałem.

Po raz nie wiadomo który próbował, mylił się, zaczynał jeszcze raz. Czerwone, czarne. Przebłyśki błękitnego nieba i podmuchy wiatru mieszały mu szyki. Zielone, niebieskie. Czerwone, czarne.

Potem zmienił grę: na czworakach zaczął zbierać z drogi kamyczki żwiru. Biały, szary... Moje są białe., Biorę dziesięć na chybił trafił. Osiem, dziewięć, dziesięć...

Po chwili otworzył dłoń i ułożył je obok siebie. Pięć białych, pięć szarych. Remis! Kopnął kamyczki i kłusem pobiegł do domu.

Z lodówki wyjął dwie puszki piwa i wrócił pod drzewo. Dwa ostatnie dni wyczerpały go. Eskapada do Deauville, strata pieniędzy i rozmowa z Laurence niosły zapowiedź klęski. Przegrać? Zgodą, ale dlaczego, na domiar złego, miałby być durniem? Nie, nie był idiotą i dobrze o tym wiedział, podobnie jak nie było dla niego tajemnicą, że jego intelekt nie ma żadnego wpływu na jego postępowanie, na ów pęd do samounicestwienia, dla którego alibi stanowiła gra. „Zabij się, kretynie” - szeptał w nim jakiś cichy głos. „Nie ma mowy - odpowiadało echo - wszystko stałoby się za szybko”.

Oparł się plecami o drzewo, zamknął oczy. Czuł, jak pachnie powietrze, słyszał szemranie rzeki. Pod zamkniętymi powiekami przesuwały się odległe obrazy. Dom rodzinny, Saint-Cyr-l'Ecole, Rzym, Paryż. Mieszanina dźwięków, twarzy, kolorów. Powiedział o tym jedynie Colette. Wysłuchała go i odpowiedziała

zdaniem, które na zawsze wryło mu się w pamięć: „Wszystkich nas położono w prokrustowych łożach i tylko bardzo nieliczni uświadomili sobie, co z nimi uczyniono”<sup>\*</sup>.

\* R. Laing.

Miał w nosie Prokrusta i jego łoża. Dla niego liczył się tylko zamęt wewnętrzny, w jakim żył, równowagę zaś przywracał mu tylko zawsze ten sam, znany od lat głos:

- *Faites vos jeux! Rien ne va plus.*

Rzeczywiście, nic mu nie wychodziło. Co robi Laurence? Dlaczego się do niego nie odzywa? Nie podobała mu się transakcja, jaką mu zaproponowała. Nie lubił szantażu, ale jaki miał wybór? Układ był prosty: Laurence wypłaci mu dwadzieścia tysięcy franków, a on zniknie na zawsze. Stanowczo nie nadawał się do tego rodzaju interesów. Od dwunastu lat... Nie, znał już Laurence piętnaście lat. Gdyby nie ona, do tej pory ryłby w kamieniu. Wszystko zaczęło się od niewinnego zdanka.

- Potrzebny mi pewien mebel z pracowni Jacoba - szafa w chińskim stylu dla jednego z emirów. Mógłbyś mi to załatwić?

- Mebel Jacoba? Musiałbym go ukraść. Jeszcze teraz brzmiał mu w uszach jej śmiech.

- No to ukradnij!

Poszedł na to, ukraść. Skrzynię, dwa obrazy, trzy posągi...

Wypił drugie piwo, rzucił puszkę prosto przed siebie i patrzył, jak zanurza się w zieloną toń.

Telefon... Nie, to jakiś zdezelowany samochód zatrzymał się sto metrów dalej. Na pewno spacerowicze.

- „Zadzwoń do niej” - postanowił.

Długo czekał przy telefonie. Nikt się nie zgłaszał.

Ogród nad rzeką... Nie obudził go wieczorny chłód. Kiedy otworzył oczy, złoty księżyc prześwitywał między liśćmi, które stały się czarne. Białe, czarne. Jak postać idąca brzegiem w jego kierunku - facet w ciemnych spodniach i jasnej koszuli.

\*

Strumień światła skierowany prosto w twarz zmusił go do zmrużenia oczu.

- Co to ma...

Żelazna pięść wylądowała mu na żołądku. Zgiął się we dwoje i uderzył czołem w podniesione kolano przeciwnika.

Pietro poczuł, że ktoś brutalnie chwycił go za nos, z którego coś zaczęło powoli kapać. Podniósł rękę do twarzy. Coś czerwonego, krew.

Instynktownie przyjął postawę obronną. Nawet nie dostrzegł sierpowego, jaki zakreśliła w mroku prawa ręka napastnika. Głowa Pietra uderzyła w pień jesionu. Wszystko stało się czerwone. A potem czarne.

\*

Było to coś wilgotnego i chłodnego. Pietro czuł, że po twarzy spływa mu woda, łagodząc pieczenie skóry.

- Lepiej ci, tłusciochu?

Głos. Głos Paula Marsylczyka. Mężczyzna nacisnął na tchawicę Pietra, któremu natychmiast zabrakło powietrza w płucach.

- Gadaj, albo cię utopię.

Paul zdjął rękę. Pietro odchrząknął i głęboko wciągnął rześkie, nocne powietrze.

Włoch czekał z twarzą w trawie. Tylko Laurence mogła przysłać tu tę, bestię. Świnia. Poruszył szyją, a z nosa trysnęła struga wody i krwi.

- Spróbuj tylko drgnąć, a wykończę cię.

Znajdowali się na brzegu i Pietro wiedział, że z zapadnięciem nocy nikt się tu nie pojawi. Miejscowi podrywacze woleli równie spokojne, ale położone wyżej zakątki. Nad rzeką jest dobrze w dzień, nie w nocy. Za wilgotno, żeby położyć się na ziemi.

Paulo przy czymś się krzątał, z plastikowej torby wyciągnął jakiś przedmiot. Położona w trawie kieszonkowa latarka rzuciła poziomy snop światła.

- Załóż to.

Paulo pomógł mu się wyprostować i założyć uprząż ze sznurka, którą spiął na piersi karabińczykiem. Na plecach konopne sznurki były złączone stalowym pierścieniem, jak w angielskich trenczach.

- Przypomniałem sobie, że lubisz łowić ryby. No co, może powiesz, że jestem złym kolegą?

Nogą zepchnął Pietra do rzeki. Uprząż na plecach, przyczepiona do łańcucha pierścieniem, utrzymywała ofiarę w pozycji horyzontalnej dziesięć centymetrów

nad wodą. Stalowe ogniwa przesuwają się po poziomej, drewnianej belce, ustawionej tu dla miejscowych rybaków.

- Co zrobiłeś z forszą, którą mi jesteś winien?
- Czekam, aż Laurence mi ją wypłaci.

Nie padły żadne inne słowa. Do karabińczyka na brzegu został doczepiony żeliwny ciężarek i twarz Pietra zanurzyła się w wodzie.

Kiedy znów się wyłonił, słychać było tylko brzęk łańcucha i jego urywany oddech.

Pietro zachowywał się jak człowiek, który uczy się pływać i próbuje wykonywać podstawowe ruchy. Wymachiwał rękami, pluł, płakał. Z jego ubrania pryskały drobne kropelki i odbijały się z cichym pluskiem od powierzchni rzeki.

- Gdzie jest moja forsa?
- Nie uwierzysz, gdy ci powiem.
- Ale powiedz.
- Przegrałem ją i Laurence...

Łańcuch ześlizgnął się. Ciało Pietra dotknęło wody. Głowa zanurzyła się i znikła.

Z dna uniósł się rój pęcherzyków. Bańki powietrza pękały kolejno na powierzchni, aż wreszcie przestały się pojawiać.

Szczęk łańcucha. Ciało torturowanego przypominało deskę. Głowa odwróciła się w stronę brzegu. Pietro czknął i zwymiotował.

- Pieniądze?

Jakaś muzyka wypłynęła z nocy, duży bęben

wystukiwał rytm. Za drzewami zapaliły się światła. Gromadka małych dziewczynek wyczarowanych jego wyobraźnią spacerowała pod rzędem topoli; całe miasto przychodziło mu na pomoc. Ale lampiony gasły jeden po drugim. Znow zapadł w ciemność. Czarno.

- Pieniądze?

Pietro usiłował ratować życie, uspokoić serce, które waliło jak oszalałe. Colette! Teraz jej obraz wypłynął z mroku. Nadbiegała pędem, wyciągając do niego rękę. „Wszystkich nas położono...” Spać, tak, Colette, położyć się i zasnąć.

- Colette!

Głos Paula przywołał go do rzeczywistości:

- Co Colette? To ona ma szmal? Gargallo jej nie wystarczył?

Zrezygnował z walki, kiedy jego głowa ponownie się zanurzyła. Dusił się, wypływał na powierzchnię, łapał oddech i wyciągał żeton do krupiera. Czerwone. Sto tysięcy na czerwone. Kulka toczyła się po czarnym walcu. Nie ma już czerwieni, znikł szkarłat, karmin, skończyła się purpura i złoto. Oszukana ruletka. Całe życie grał z oszustami. Tak, od początku gra była sfałszowana, a on obstawiał u diabolicznych krupierów na ruletkach bez czerwonego koloru. Nie ma już ani koloru czerwonego, ani Colette, nic już nie ma.

- Colette!

Szczęk łańcucha przeciął noc. Jakiś głos krzyknął:

- *34! Noir! Impair et manque!*

Wszystko stawało się czarne, czarne, czarne.



\*

Jak miło pójść na ryby wczesnym, lipcowym porankiem! A stary, który tego dnia zarzucał wędkę, pomyślał, że doprawdy ten sport musiał wynaleźć sam Pan Bóg.

Kiedy szaławik zanurzył się i pękła żyłka, najpierw zaklął, a potem orzekł, że musi tu grasować wielka ryba.

Zmienił wędkę. Szaławik znikł. Przewidująco uzbroił się w czerpak i wszedł do wody. Poczłwał, że trzyma w siatce coś ciężkiego. Oczywiście nie mógł to być szczupak. Za wcześnie o tej porze roku. Poza tym, znacznie mocniej się rzuca. Bardzo wolno pociągnął. Boże, ależ to stworzenie jest ciężkie! Jakaś przechodząca para zatrzymała się, by popatrzeć.

- Ojej, moi drodzy, podajcie mi rękę! Chyba mam tu wspaniały okaz!

Oboje pomogli mu wyciągnąć na brzeg przedmiot, na którego widok oniemieli. Potem kobieta ze straszliwym krzykiem rzuciła się do ucieczki. Jej towarzysz puścił się pędem za nią, a stary, z tyłkiem w wodzie, wzywał pomocy.

W czerpaku była ludzka głowa. Strażacy wydobyli tułów i głowa powróciła na swoje miejsce. A stary pomyślał sobie, że wędkowanie wynalazł chyba jednak diabeł. I właśnie dlatego najwięksi bigoci niekiedy tracą wiarę i przystępują do sekt.

## ***Rozdział X***

Co za szczęście! Neuron i Ofelia już są w Paryżu. Na ich koloniach wybuchły jakieś niesnaski i wrócili wcześniej, niż przewidywali.

Idę pod Królewskiego Węglarza z Loïckiem, ciągle jeszcze spowitym w bandażu. Spotykamy się wszyscy wielce zadowoleni i delectujemy się flaczkami. To jednak coś całkiem innego niż jakiegś tam byle co z jarzyn. Wino płynie, jesteśmy w komplecie. Życie byłoby piękne, gdyby Maria... Co począć z jej nieobecnością? Pogodzić się z nią, oczywiście.

Neuron opowiada o swoich wakacyjnych porażkach i całkowitym braku porozumienia z ekologami ze swej grupy.

- Co to za ekolodzy - pyta Jean-François z pełnymi ustami - z miasta czy ze wsi?

- A co to za różnica?

- Ekolodzy z miasta zanieczyszczają środowisko benzyną, a ekolodzy ze wsi - ropą. W każdym razie niech licho porwie ekologów, którzy myślą dąb z wałem krzywkowym; ani jedni, ani drudzy nie potrafią zresztą odróżnić sałaty cukrowej od rzymskiej. Mam już po uszy różnych mędrków!

Powoli trzeźwiejemy. Loïck opowiada Neuronowi, jak go poturbowano.

Fernand kiwa na mnie zza kontuaru.

- Telefon do ciebie.

Biegnę do kabiny. To René Vermont, obrońca Marii.

Wreszcie coś zaczyna się dziać! Adwokat mówi, że jutro Maria będzie zwolniona, ale pozostanie pod nadzorem sądowym.

Neuron stawia kolejkę dla uczczenia tej wiadomości. Piję mało, targany sprzecznymi uczuciami. Tym razem Maria będzie musiała się wytłumaczyć. Reszta towarzystwa wyczuwa moją rozterkę. Nagle nastrój pryska i wszyscy się żegnają.

\*

Słyszę kroki na schodach. Chyba ktoś nie odrywa palca od dzwonka, taki hałas. Krzyczę: „Dostyc już tego!” i spieszę do drzwi. Przygoda z olbrzymami dała mi nauzkę, więc zakładam łańcuch.

I tym razem jest ich dwóch, ale z całą pewnością należą do innego szczepu niż Apacze Horace'a. Jeden z typków pokazuje mi legitymację. To policja.

Nie ma rady, otwieram. Wchodzą. Masywni, spokojni, pewni siebie. Policja... Jedyna współczesna władza, która wszystkiego się nauczyła, a niczego nie zapomniała; dotyczy to Ruskich i Szwabów, Amerykanów i Zulusów. Panuje nad światem, a do cech narodowych czy rasowych potrafiła dołączyć wnioski płynące z

doświadczeń Czerwonych Khmerów, NKWD, gestapo i innych instytucji, wyspecjalizowanych w wyciskaniu spontanicznych zeznań i uśmiechów przez łzy.

Przybieram ton Gerarda Philipe'a z *Księcia Homburga* i gram dziarskiego amanta.

Jeden z moich gości, ten w niebieskiej marynarce, przedstawia się: komisarz Alain Dubois. Potem wskazuje na kolegę i mówi:

- A to mój zastępca, Albert Belmain.

Przypominam sobie teraz opis policjantów prowadzących śledztwo, jaki podała mi Maria, oraz nazwisko Dubois. Co oni robią u mnie?

Proszę, żeby usiedli na tapczanie. I tu reminiscencja. Na ich twarze nakładają się gęby Horace'a i Josepha. Wcale, ale to wcale nie podoba mi się to wszystko.

Pierwszy przystępuje do ataku Belmain.

- Od jak dawna zna pan Marię Cheney?

Nareszcie, jesteśmy w domu: czuję prawie ulgę. Może będę mógł przeciąć wrzód.

- Kto to taki Maria Cheney?

Dubois jakby się obudził.

- Panie Valois... Zdradzę panu pewien sekret: jestem gliniarzem. To znaczy, że płacą mi, bardzo marnie nawiasem mówiąc, abym czuwał nad przestrzeganiem prawa. W istocie rzeczy jestem, by użyć modnego dziś wyrażenia, śmieciarzem i każdego cholernego dnia znajduję w swym pojemniku na śmiecie morderców dzieci, zabójców starych kobiet, zasranych dilerów,

dypłomatów, gwałcicieli, ludzi niezadowolonych z siebie, fanatyków religijnych, że wymienię tylko tych. A dzisiaj, przypadkowo, ukazuje się na moim przeogromnym stosie śmieci niejaki Didier Valois. Guzik mnie pan obchodzi, podobnie jak Maria Cheney i osoby jej podobne. Umarł człowiek. Został zamordowany. A ja mam znaleźć zabójcę. Robię to bez nienawiści, niczego na tym nie zyskam i w gruncie rzeczy mam to w nosie, ale jestem gliniarzem, jasne? A pan, panie Valois, pomoże mi, czy pan tego chce, czy nie.

- A jeśli odmówię?

Dubois wstał i skierował się prosto na mnie. Instynktownie cofnąłem się o krok. Poczujęm się równie bezbronny jak ów nieznany Chińczyk z Tienanmen, sam naprzeciw kolumny czołgów.

- Może pan odmówić, ma pan prawo, ale proszę pozwolić, że wyznam panu inny sekret... Lepiej być ze mną niż przeciwko mnie. Kapuje pan? Niech pan spróbuje odmówić...

Kapuję.

- Czego ode mnie chcecie?

- Proszę nam opowiedzieć o Marii. Niech pan nie mówi, że jest pańską siostrą, bo zamknę pana za kazirodztwo. Pytanie: co, pana zdaniem, myśli gliniarz o kochanku kobiety, której męża zamordowano?

Jak idiota krzyczę:

- To nie ja!

Drugi z duetu, Belmain, wybucha śmiechem. Ale z jego wielkich ust nie pada ani jedno słowo.

Dubois nie reaguje i ciągnie dalej, jakby jego akolita był powietrzem.

- O waszym związku wiedzieli nawet rodzice Frédérika Cheneya. Oni nas o tym poinformowali. Maria chciała się rozwieść i wyjść za pana, prawda?

Znów czuję mróz w kościach. Nie chcę się żenić z Marią. Zaraz to powiem temu gliniarzowi-śmieciarzowi. Ale nie może mi to przejść przez usta, więc tylko przecząco potrząsam głową.

Facet mi nie popuszcza.

- Oto co myślę, panie Valois. Wydaje mi się, że nie jest pan mordercą, ale z pewnością go pan zna. Moim zdaniem, w tej sprawie gra pan rolę detonatora. Podejrzewam także, iż kogoś pan kryje. Ale kogo? Marię? Jakąś osobę z jej otoczenia?

- Co tu ma do rzeczy jej otoczenie?

- Zawsze ma coś do rzeczy w przypadku śmierci gwałtownej. Zawsze. Z wyjątkiem umowy w stylu mafijnym albo morderstwa na zlecenie, co się przecież czasem zdarza, właśnie w otoczeniu zmarłego na ogół znajduje się morderca. Niech pan ogląda mniej seriali kryminalnych w telewizji, panie Valois - są w gruncie rzeczy takie same: jeśli obejrzał pan jeden, zna pan wszystkie, a poza tym są nudne jak flaki z olejem - niech pan natomiast częściej wertuje kronikę wypadków. A teraz proszę mi opowiedzieć o Marii.

Opowiadam o kobiecie mego życia. Obnażam ją, obnażam siebie. Gliny słuchają, czasem zadają jakieś pytanie, wyciągają ze mnie informacje na temat Lei,

Laurence, rodziców Frédéricika, jego sekretarki. I nagle zdają sobie sprawę, że znają każdy mój krok od chwili aresztowania Marii.

- Śledziliście mnie? A ja niczego nie spostrzegłem!  
Belmain chichocze. Dubois uśmiecha się.

- Zwyczajne, rutynowe działanie, elementarne, pawłowowskie odruchy. Jesteśmy dobrze wytresowani, nie jesteśmy żadnymi geniuszami, lecz po prostu psami. Policyjnymi oczywiście - dorzuca ze śmiechem.

Policjanci wstają, żegnają się. Dubois po chwili wraca.

- Byłbym zapomniał... Proszę nie wyjeżdżać bez mojej zgody. Okay? Cześć!

Zapomniałby, akurat...

\*

W zaułku du Moulin-Vert zachodziło słońce i cień domu na rozwichrzonym gazonie stawał się coraz dłuższy.

Colette robiła porządki. Wykonywała codzienne czynności, ale nieustannie myślała o przeżyciach ostatnich dni. Była zbulwersowana swym odkryciem: związkiem Marianny z Marsylczykiem. Owa para stanowiła jakby szprychy jednego i tego samego koła, którego sworzniem był prawdopodobnie Pietro.

Nie miała pojęcia, gdzie mieszka Marianna, ale wiedziała już, gdzie ją znaleźć. Pchli targ i antykwariat w

pobliżu bulwaru Raspail były fragmentem nitki, po której starała się dojść do kłębka.

\*

Ubrana w lekką kurtkę, z torebką przewieszoną przez ramię, Colette przeszła przez ogródek i otworzyła furtkę. Jakiś cień, długi jak nieszczęście, zmusił ją do cofnięcia się. Drogę zagroził jej Marsylczyk.

Raptownym skrętem tułowia usiłowała wyminąć przeszkodę. Dłoń Paula zacisnęła się na jej łokciu. Zachwiała się. Ruchem głowy wskazał dom.

- Chodź, porozmawiamy bez świadków.

Jego wolna ręka rozchyliła marynarkę i zatrzymała się na pistolecie zatkniętym za pasek.

\*

Paulo wskazał jej kanapę. Usiadła na brzeżku, gotowa się poderwać.

- Chce mi się pić, można tu coś dostać?

Młoda kobieta chciała się podnieść. Nie spostrzegła ręki, która wymierzyła jej policzek. Upadła głową do przodu.

- Powiedziałem: „Chce mi się pić”, a nie: „Wstań”.

Oparła się na jednej ręce i usiłowała wstać. Twarz ją paliła, zwiniętymi palcami wolno masowała kość policzkową.

- Nie ruszaj się, bo popamiętasz!



Z lodówki wyjął butelkę gazowanej wody, którą otworzył o zasuwkę w drzwiach. Pił długimi haustami. Jego ręka wykonała ruch, jakby rzucał granat, i pusta flaszka pofrunęła w kierunku prostokątnego lustra, stojącego na kominku.

W pamięci Colette pojawił się obraz alabastrowego wazonu stłuczonego w Honfleur. Rozbite zwierciadło stało się na ścianie różą wiatrów, wskazującą wszystkie kierunki. Colette nie mogła nie pomyśleć o tym, co Pietro powiedział pewnego pechowego dnia, kiedy zdarzyło mu się zbić kieszonkowe lustro.

- Ho, ho! Siedem lat nieszczęścia!

Głos Marsylczyka wyrwał ją z zadumy.

- Gdzie jest szkocka?

- W skrzyni za panem.

- Daj ją.

Colette wstała. Zrobiła krok. Podstawił jej nogę. Upadła z podwiniętą spódnicą.

- Muszę przyznać, że masz ładne nogi. Nie nudził się ten twój Pietro. No i co z tą whisky?

Postawiła butelkę na stole i rozejrzała się za szklanką.

- Chodź tu.

Palce Paula wczepiły się w jej włosy. Krzyknęła pod wpływem nagłego bólu.

- Nie proszę o szklankę.

Odepchnął ją otwartą dłonią, przytknął butelkę do ust i wypił dwa łyki.

- Masz odpowiadać na moje pytania szybko i zgodnie z prawdą. Widziałem się z Pietrem.

- Gdzie? Kiedy?

Pięść Paula wylądowała na jej oku. Poczuła coś nieznanego, olbrzymiego, co uformowało się w jej brzuchu i rosło, podeszło do gardła, aż wreszcie wybuchnęło niemym, niekończącym się łkaniem.

- Milcz!

Rzuciła się na niego z pazurami. Celowała w miejsca po obu stronach nosa mężczyzny, w dwoje szarych oczu pozbawionych wyrazu, przypominających dwa kawałki szkła. Zastonił się ramieniem, a jego palce chwyciły kołnierzyk bluzki. Rozległ się trzask rozdieranego materiału. Colette wydawało się, że chrzęst ten nigdy się nie skończy. Jedną ręką przytrzymywał jej nadgarstki. Drugą dokończył rozrywać bluzkę, a potem szybkim ruchem zdarł stanik.

Stał przed nią, ale nieco z boku. Czubkiem buta kopnął ją w nogę.

Z jej ściśniętego gardła wydarło się wycie. Ból rozchodził się po całej nodze i Colette zapomniała o wszystkim oprócz ostrza boleści przeszywającego całe jej ciało.

Paulo rozbierał ją wolną ręką. Darł na strzępy każdą część jej garderoby. Colette czuła nieposkromioną siłę swego przeciwnika w każdym z ruchów, jakimi ją obnażał. Pięścią powalił ją na tapczan. Po raz pierwszy na swym nagim ciele poczuła chłód skórzanej kurtki.

Leżała z twarzą wciśniętą w poduszki i nie widziała

już Paula, słyszała jednak odgłos przesuwanej po stole butelki, hałas, jaki robił pijąc.

- Gestapowcy uważali, że człowiek poddaje się łatwiej, gdy jest nagi, a ja im wierzę. Masz, napij się.

Czekając, co nastąpi, leżała wyczerpana i podniosła się dopiero wtedy, gdy wylał jej strumień szkockiej na plecy. Szyjkę butelki przytknął jej do ust, palcami ścisnął nozdrza i zmusił do wypicia.

- Wstawaj!

Podniosła się, zaciskając zęby. Miał taksujące spojrzenie handlarza bydłem.

- Masz szczęście, nie podobasz mi się. Spaceruj!

Rozkaz, że ma chodzić, nie dotarł do jej nóg.

- Spaceruj!

Jej stężałe mięśnie odmawiały posłuszeństwa.

Paulo schylił się, podniósł jeden z odłamków rozbitego lustra. Jego ręka zbliżyła się do pleców Colette i naznaczyła je długą, czerwoną rysą. Krzyknęła.

- Ostrzegam ostatni raz. Masz powiedzieć, gdzie są pieniądze, które zostawił u ciebie Pietro.

- Nie widziałam Pietra od jedenastu miesięcy.

- Łżesz!

- Nie! Przysięgam, nie!

- Spotkałem się wczoraj z Pietrem. Wszystko mi opowiedział i wiem, że pieniądze ze skoku zostawił u ciebie. To forsa, którą dostał od Laurence za rzeźby. Ty masz ten szmal. Trzymam w garści tego łajdaka, twego męża. Teraz decyzja należy do ciebie. Albo będziesz mówić, albo go załatwię.

Znów sięgnął po odprysk rozbitego lustra.

Plecy Colette pokryły się krwawym tatuażem.

Zapominając o upokarzającym biciu, o zależności, jaką stwarzała jej nagość, czuła już tylko ogromną i śmieszną ochotę, żeby płakać. Tylko jedna rzecz mogła ją wyciągnąć z tej otchłani: śmierć tego człowieka. Nic innego. Tylko jego śmierć.

Paula zaskoczyła jej szybkość. Rzuciła się na podłogę i chwyciła szklane ostrze. Chwiejąc się uderzała go nim z całej siły. Potknęła się i nie trafiła w serce. Szklany sztylet rozciął koszulę Paula i zadrasnął skórę. Poczowała jakby uderzenie obuchem w głowę. Jej zziębnięte ciało nie czuło szklanego noża sunącego po skórze. Krzyknęła.

Krzyczała jeszcze, kiedy pochylił się nad nią jakiś cień.

- Proszę się uspokoić, nic już pani nie grozi. Jestem Vilma, pani sąsiadka.

Stała przy niej jakaś kobieta. Była to mieszkanka przyległego domu. Klasyczne paryskie sąsiedztwo, ledwo ją znała, dzień dobry, do widzenia.

Kobieta rozglądała się za jakimś ubraniem, w łazience znalazła szlafrok.

- Wezwę policję.

- Nie, tylko nie to.

W oczach Vilmy zapaliła się iskierka ciekawości.

- Jak pani sobie życzy, ale nie mogę zostawić pani w takim stanie. Zadzwońię po lekarza.

Zaprowadziła Colette do łazienki i pomogła jej się

obmyć. Skóra ciągle była czerwona, a na policzkach tworzyły się dwie paskudne wypukłości. Z pleców płynęła krew.

- Skąd się pani tu wzięła?

- Przed chwilą wróciłam do domu i usłyszałam krzyk, więc przyszłam. Ten człowiek odepchnął mnie i uciekł.

Wreszcie zjawił się lekarz i kazał zawieźć Colette do szpitala.

## ***Rozdział XI***

Ale niespodzianka! Przed domem czeka na mnie Nyża.

- Chcę z tobą pogadać, przejdźmy się trochę.

Skręcamy w stronę rzeki. Stary idzie wolno i tak kroczymy w kierunku nabrzeża de Grenelle.

Ulica Nélaton. Nyża nieruchomieje. Przypomina wyżła: łapie krótkie hausty powietrza i zdaje się łowić uchem odgłosy, które rozumie tylko on jeden.

Podbródkiem wskazuje betonowe bloki stojące przy linii naziemnego metra.

- Właśnie tam był kiedyś Vélodrome d'Hiver.

Słyszałeś o nim, ale nie masz pojęcia, co to było. Mogę powiedzieć, że spędziłem tam życie... Drewniana wstęga bieżni, wiraże nachylone pod kątem czterdziestu stopni, ławki z desek, czapki przyklejone do głów; publiczność, która przyszła na „Sześć Dni”, słynne zawody trwające bez przerwy sześć dni i sześć nocy, jest jak rozhuśtane morze, jak fala: kołysze się, ale stoi w miejscu. Kobiety przynosiły mężom litry czerwonego wina i wałówkę, bo oni przychodzili na otwarcie i siedzieli tu aż do końca, przez sześć dni, rozumiesz, sześć dni. Tyle że nie sikali pod siebie. Od czasu do czasu zdrzemnęli

się tylko, kiedy nic się nie działo, a biegacze w wełnianych nagolennikach i śmiesznych czapeczkach okrążali bieżnię w zwolnionym tempie: nazywano ich wiewiórkami, tych czempionów. Z nadejściem wieczoru znów zaczynały się biegi. Przez krzyki przedzierał się głos Berretrota, spikera czytającego reklamy: „Jeśli lubicie, żeby rzeczywiście były jak toczone... kupujcie bibułki do papierosów O... C... B...!”

Widzisz piętnaście tysięcy twarzy, kogo tam nie ma! Ulicznicy, proletariusze, artyści, faceci w smokingach, hrabiny w perłach, alfonsi i ich damy. Słyszysz, jak pod szklanym dachem piętnaście tysięcy głosów powtarza chórem: ..Ooo... Cee... Bee!

Szyby na górze aż drżały, przysięgam. A tam, na bieżni, chłopcy walczyli, ścigali się, na wirażach dawali gaz do dechy, żeby wygrać premię. Miałeś „Błękitny Ekspres”, arystokratów peletonu, mafię gwiazd, które decydowały o biegu, a potem szarą masę, tych, co harują z tyłu, żeby było na co patrzeć. I zapach... Zapach „Sześciu Dni” - woń kurzu, dymu i potu; zapach ciał, zapach specyfików unoszący się wokół biegaczy, masowanych w swoich nyzach. Im zawdzięczam swe przezwisko. Tak, Didier, poznałem tu wszystko, kumpli, kobiety, tak, mój drogi, kobiety... łajdaków i ot, takich facetów!

Stary podnosi kciuk do góry.

- Velodrome d'Hiver to było niebo, ziemia, kosmos, wszystko. Zresztą, co ty możesz o tym wiedzieć...

O, popatrz, wiewiórki są jeszcze w klatce. Posłuchaj, jak na trawniku Henri Garât śpiewa chrapliwym głosem w błękitnej mgłę, wiszącej nad gazowymi lampami:

*Ça fait pas chic une casquette,*

*Ça donne le genre malhonnête*

*Ça joue du poing, d' la tête*

*Et du chausson,*

*Un mauvais garçon...\**

\* Czapka nie jest eleganckim nakryciem głowy, nadaje ci podejrzany wygląd (...) Łobuziak potrafi uderzyć pięścią, głową i obcasem...

albo Georges Milton, Bouboule, nie znasz go? Bardzo dziwne... Wszyscy wstawali w ławkach, kiedy śpiewał *C'est pour mon pa... pa...!*\*\*

\*\* To dla mego ta... ty...!

Bywał tam cały wielki świat, powiadam ci. Thorez, La Rocque, wielki Jacques, bo tak wtedy nazywano tę świnię Doriota! Blum także. Potem pojawili się kolaboranci, francuscy nacjonałiści, zakochani głównie w narodzie szwabskim, którzy chcieli uwolnić Paryż od Niemców, broniąc Berlina przeciwko Rosjanom - stara, mętna logika skrajnej prawicy. Henriot, Déat i reszta krzyczeli podobnie jak na „Sześciu Dniach”, ale w ich wrzasku czaiła się śmierć; nie miało to nic wspólnego z pełnym życia podnieceniem, jakie daje sport, wolnoamerykanka Deglane'a, biegi Carrary albo tremolanda akordeonu grającego do tańca na podmiejskich zabawach. A potem przyszła łapanka na Żydów i dzieciaki. I od tej



pory, kiedy widzę kepi, przechodzę na drugą stronę ulicy. No, dość już tego! Muszę z tobą pogadać.

Nyża przechodzi na drugą stronę bulwaru i zaprasza mnie do Routisa.

- Chodź, golniemy sobie jednego.

Jeden kieliszek, dwa. Czekam. Stary podkreśla każdy łyk młaśnięciem.

- Bardzo dobre, wyobraź sobie.

Czekam. Znam rytuał.

„Prądem Rzek obojętnych niesion w ujścia stronę...”

Nyża urywa, kiwa na kelnera. Oczy błyszczą mu coraz bardziej. Aha, przyszedł czas na gimnastykę mózgu.

- „...Czułem, że już nie wiedzie mnie dłoń holowników...”

Znów przerwa. Żegnaj, Rimbaud, stary zaczyna pleść.

- 61 GNW 14, HAM-KZ 42.

- Co ty wygadujesz?

- Nie słuchasz tego, co mówię, Didier. Powiedziałem ci, że nie lubię glin i nie chcę z nimi rozmawiać. Wahałem się, czy w ogóle ci o tym powiedzieć, ale jesteśmy kumplami i chcę ci pomóc w sprawie tej twojej Marii. W dniu śmierci adwokata widziałem, jak ktoś wychodzi z jego domu.

Słucham z najwyższym zainteresowaniem.

- Zauważ, może to nic takiego, mógł to być ktoś całkiem niewinny.

Wychylał swój kieliszek do dna.

- Mów dalej.

- Facet wszedł do samochodu.

- Peugeota?

Nyza otwiera szeroko oczy.

- Byłeś tam?

- Ależ skąd, baranie, jedź dalej.

- Zgadłeś, peugeot 61 GNW 14, ale był tam także mercedes HAM-KZ 42.

Teraz wszystko zależy od ciebie, jak mawiał Lapébie, przekazując w biegu sztafetowym pałeczkę koledze, który nie był gapą. Nalej, suszy mnie.

I stary powraca do swych ćwiczeń pamięciowych: „Prądem Rzek obojętnych niesion...”

Jestem zbyt poruszony, by słuchać, więc przerywam mu:

- Dlaczego wcześniej nic mi nie powiedziałeś?

- Żeby pomóc gliniarzom? Wolę zdechnąć.

Kiwa na kelnera i pokazuje swój pusty kieliszek.

\*

Nyza lekko się chwieje, kiedy go odprowadzam do domu. Żegna się ze mną wylewnie.

Pozostaje problem samochodu. Jak się dowiedzieć, kto jest jego właścicielem? Przychodzi mi do głowy pewien pomysł, wskazuję do taksówki i każę się wieźć do mego agenta ubezpieczeniowego. Wymyślam jakąś opowiastkę. Miałem rzekomo stłuczkę z jakimś samochodem, który zwiął. Na szczęście zapisałem jego numery.

Agent słucha.

- Proszę złożyć zgłoszenie straty, abym mógł zidentyfikować tego kierowcę. Zajmie mi to parę dni, dziś mamy czwartek, proszę zajrzeć na początku przyszłego tygodnia.

To dla mnie za długo. Maria wychodzi jutro z więzienia, nie mogę tyle czekać. I właśnie wtedy przypominam sobie o Martwym Byku, stałym bywalcu Gospody pod Królewskim Węglarzem. Ale gdzie ten gość mieszka?

Pędzę do mego ulubionego bistra i rzucam się na Fernanda.

- Znasz adres Martwego Byka?

Muszę zachowywać się agresywnie, bo Fernand się obrusza.

- Prowadzę bistro, nie agencję informacyjną.

Opowieść starego podnieciła mnie do białości. Poprzez blat baru chwytam Fernanda za koszulę i przyciągam do siebie.

- Słuchaj, to niesamowicie ważne, jak go tylko zobaczysz, powiedz, żeby do mnie zadzwonił.

Fernand odrywa moje ręce wczepione w jego koszulę. Nalewa mi kieliszek wina.

- Masz, napij się. Wydajesz się strasznie podniecony.

Przekażę wiadomość temu dzielnemu policjantowi.

\*

Szósta rano. Szare niebo nad Paryżem. Przejeżdżam przez tunel w Saint-Cloud i gnam do Bois-d'Arcy.

Parkuję samochód. Przed aresztem stoi także audi 80. Na miejscu kierowcy znajoma postać: René Vermont, adwokat Marii. Obok niego jakaś kobieta paląca papierosa ze złożonym ustnikiem. Siedzi plecami do mnie, więc nie od razu ją poznaję. Lekko się odwraca: to Laurence.

Dlaczego jestem zdziwiony? Matka przyjeżdża po zwalnianą z więzienia córkę, coś bardziej normalnego? Antykwariuszka patrzy na mnie, ale nie odpowiada na mój ukłon.

Adwokat puszcza kierownicę i wyciąga do mnie rękę.

- Dziękuję, że mnie pan zawiadomił, mecenasie. Byłem pewien, że sędzia ją wypuści.

Vermont mierzy mnie ironicznym spojrzeniem.

- Jak dobrze być jasnowidzem! Ja natomiast nie byłem tego wcale pewny. Niemniej Maria Cheney pozostanie obiektem zainteresowania policji, póki morderca nie znajdzie się pod kluczem.

- Może była to przypadkowa zbrodnia. Jakiś drobny włamywacz przyłapany na gorącym uczynku mógł stracić głowę i...

Jego uśmiech przypomina grymas. Podśpiewuje.

- Jakiś drobny włamywacz, który tamtędy przechodził...

Piosenka urywa się.

- Uwielbiam naiwnych, panie Valois. Gdyby rzeczywiście było to tylko włamanie zakończone tragedią,

Chomel nie kręciłby się tak przy pewnych ugrupowaniach politycznych. Facet ma stosunki i woła o pomoc.

Pałę. Laurence udaje, że drzemie w samochodzie. Ale nie dają się na to nabrać.

- A ona?

- To wspaniała kobieta, nienaganna matka i cudowna babka.

Patrzę na niego, zdziwiony tą tyradą.

- Wygłasza pan mowę obrończą, mecenasie, czy reklamuje nowy proszek do prania i chce trafić do przodujących babć? Ja także uwielbiam naiwnych.

Vermont inkasuje cios nie mrugnawszy okiem i zerkna na złotego rolexa na prawym ręku.

- Już czas, idę tam.

Puka palcem w przednią szybę samochodu i kieruje się ku bramie więzienia.

Nareszcie ukazuje się Maria.

Dłaczego wychodzący na wolność więźniowie zawsze zatrzymują się na chwilę po przekroczeniu bramy, oddzielającej ich od świata zewnętrznego?

Maria jest coraz bliżej. René Vermont niesie jej walizczkę.

Młoda kobieta idzie małymi kroczkami, jakby miała spętane nogi. I nagle zaczyna biec, ściska matkę. Dziwi mnie Laurence. Chyba jest naprawdę wzruszona. Kobieta z lodu oświetlona nagle wielkim płomieniem.

Maria spostrzega mnie. Powoli podchodzi i przytula się.

\*

Czas jechać. Maria informuje matkę i adwokata, że wraca ze mną. Potem spotkają się u mecenasa Vermon-ta.

Spojrzenie Laurence twardnieje. Jestem aktorem, więc podziwiam. Do licha! Jakże mnie nienawidzi! Ale dlaczego?

Jedziemy do Paryża w porannym tłoku.

Maria pali, wspierając głowę na moim ramieniu.

- Zdaje się, że Laurence jest wściekła, że się tu po-jawiłem.

Na ręce czuję dotyk ust mojej ukochanej.

- Matczyna zazdrość. Nienawidzi mężczyzn, któ-rzy się do mnie zbliżają, i tym mocniej mnie kocha. To autentyczne uwielbienie.

- A Frédéric?

- Dla niej był jedynie ojcem Carole, jej wnuczki. Zdaniem Laurence, w małżeństwie mężczyzna jest tylko elementem dekoracyjnym, kimś do reprezentacji przy stole, czasem potrzebnym w łóżku, w pracy. Prawdę mówiąc, sądzę, że nienawidzi wszystkich przedstawi-cieli płci brzydkiej, niezależnie od tego, kim są.

- Nigdy mi o tym nie wspominałaś.

- A niby dlaczego miałabym to robić? Przeżywali-śmy naszą własną historię, a nie historię mojej matki.

Nie pytam o pobyt w więzieniu. Wiem, że na ten te-mat musi zacząć mówić sama.

- Mam nowe informacje, nareszcie jakiś ślad. Może to wreszcie nieć Ariadny, po której dojdziemy do mordercy.

Maria słucha, głaszcząc mnie po dłoni.

- Znasz Nyżę?

- Opowiadałeś mi o nim.

- To jeden z tych wariatów z XV dzielnicy, zakochanych w lewobrzeżnym Paryżu, którzy nigdy nie zaglądną na drugi brzeg Sekwany. Dla nich Paryż kończy się na moście Mirabeau czy Grenelle. Stary zachodzi często do Nationalu.

- Tej knajpki na parterze mego domu?

Potakująco kiwam głową.

Maria puszcza moją rękę i prostuje się. Chce dowiedzieć się czegoś więcej.

- Czy widział coś?

- Chyba tak. Mężczyznę i samochód. Nyża zapamiętał numery rejestracyjne.

Po raz pierwszy słyszę, jak Maria gwizdże z podziwu.

- Dobra robota, panie Valois. Czy powiedziałaś o tym policji?

- Nie, chcę się tym zająć sam. Stary zabronił mi przekazać tę informację komisarzowi Dubois.

- Widziałeś się z nim?

- Tak. Świetnie się orientuje w łączących nas stosunkach. Zdaje się, że o naszym romansie wie cały Paryż. Co ty na to?

Rozkłada bezradnie ręce.

- Co robimy? - pyta Maria.

- Decyzja należy do ciebie. Możesz przeprowadzić się do mnie, kiedy zechcesz. Dziś, jutro...

Cisza. Znów sięga po papierosa.

- Pojadę zobaczyć się z córką i zostanę parę dni w Milly. Potem się do ciebie odezwę. Okay?

Nie mogę przecież powiedzieć, że nie, więc powtarzam:

- Okay!

Zostawiam Marię przed kamienicą, gdzie ma kancelarię René Vermont. Kobieta mojego życia wydaje się błądzić myślami gdzieś daleko i całuje mnie bez entuzjazmu. Nic już z tego nie rozumiem. Wszystkiemu jest pewnie winien pobyt w więzieniu.

Widzę podjeżdżające audi. Wracam do domu.



## ***Rozdział XII***

Na wszelki wypadek Colette kazała taksówkarzowi podjechać pod sam dom.

W pokrytych opatrunkami plecach czuła od czasu do czasu ostry ból. Siniaki na policzkach zrobiły się żółtawe.

- Proszę na mnie poczekać, to nie potrwa długo - powiedziała do kierowcy.

Kiedy weszła do dużego pokoju i spojrzała na szczątki stłuczonego lustra, poczuła nieprzyjemny dreszcz. Na podłodze poniewierała się pusta butelka po whisky.

Nie zabawiła długo. W jednej z szaf Pietro miał schowany pistolet. Kiedyś nauczył ją posługiwać się tą pukawką.

- To się zawsze przydaje, gdy się zjawią nieproszeni goście - przekonywał ją.

Broń można było szybko oczyścić po wyjęciu z nasączonych smarem szmat. Colette wsunęła do kolby magazynek i wprowadziła pocisk do lufy.

- No i co, moja pani, co robimy dalej? Nie mogę tu czekać cały dzień.

Kierowca. Zupełnie o nim zapomniała. Zapłaciła za kurs i pobiegła do swego samochodu.

Saint-Ouen. Pchli targ był dziś zamknięty, wszystkie stoiska miały zaciągnięte żaluzje.

Zaciśniętymi pięściami długo waliła w falistą blachę, broniącą wstępu do „Dzieł Sztuki i Bibelotów”.

- Zamknięte, musi pani przyjść jeszcze raz, w sobotę.

Przypatrywał się jej strażnik z firmy pilnującej stoisk.

Colette wyczuła w tym człowieku napięcie, nieufność.

- Nie wie pani, że targowisko jest otwarte tylko trzy razy w tygodniu?

- Nie, przyjechałam z prowincji.

Trzeba było odejść. Wróciła do domu rozszoszona tą jałową wyprawą. Po raz pierwszy uświadomiła sobie, że się boi. Boi się Marsylczyka, tego goryla z ludzką twarzą.

\*

Z ostrożności zaparkowała samochód na ulicy d'Alésia i rozejrzawszy się dokoła, weszła w swój zaułek.

Czekali na nią w alei.

Od roku miała z nimi tyle do czynienia, iż natychmiast domyśliła się, że to gliny.

- Wie pani, kim jesteśmy?

- Przypuszczam, że policjantami.

- Dobrze pani przypuszcza.

Policjant spokojnie dokonał prezentacji. Bez zażenowania przyglądał się napiętym rysom jej twarzy,

wybroczynom na skórze, fioletowym workom pod oczami.

- Pobiła się pani z kimś?

- Nie, poślizgnęłam się na ulicy i upadłam. Chodniki są tak brudne...

Nadal przyglądał się jej półprzymkniętymi oczami.

- Wygląda pani tak, jakby była pani chora, pani Chiglione; proszę uważniej patrzeć pod nogi. Mam ochotę powiedzieć, że wolność, nawet tymczasowa, nie służy pani.

Colette odnotowała ostrzeżenie, nie mrugnawszy okiem.

- O co znowu chodzi?

Odpowiedź spadła na nią jak uderzenie pałką w usta: nie robi hałasu, a uderzony wypluwa zęby, zanim zdoła krzyknąć.

- Pietro, pani mąż, nie żyje.

Wysoki policjant był zdziwiony żalonym jękiem, jaki wydała. Cichy krzyk zwierzęcia, któremu łamią kręgosłup.

Colette po omacku szukała czegoś w torebce, chciała znaleźć papierosy. Belmain, drugi policjant, podał jej swoje. Pstryknęła zapalniczka.

Z ogrodu dochodziły jedynie ptasie trele i szelest wiatru w liściach wiśni. Policjanci czekali, nie okazując zniecierpliwienia.

- Kiedy umarł?

- Prawdopodobnie dwa dni temu. Czekamy na wynik sekcji, żeby dokładniej określić godzinę zgonu.

- Sekcji? Dlaczego?
- To nieuniknione w przypadku gwałtownej śmierci. Nie wiedziała pani o tym?

Przez sekundę dławiła się dymem. Zakaszłała.

- Boże Przenajświętszy! Zabito go!
- Tak, miał paskudną śmierć. Oszczędzę pani szczegółów. Jestem przekonany, że śmierć męża ma jakiś związek z pani historią. Proszę bardziej z nami współpracować, zdejmie pani z siebie podejrzania i pomści śmierć męża.

- Gdzie się to stało?
- W Saacy koło La Ferté, w willi, którą wynajął na cały rok.

Jeszcze jedna rzecz, której nie wiedziała o człowieku, co był towarzyszem jej życia!

- Jak do mnie trafiliście?
- Mieliśmy odciski jego palców. W młodości popełnił drobne wykroczenie.

Dubois wyciągnął z kieszeni jakiś notes i pokazał go Colette.

- Zna pani ten kalendarzyk?
- Nie.
- Znaleźliśmy go podczas rewizji. Ciekawy notes: zawiera wyłącznie nazwy kasyn, wyścigów konnych i domów gry. Czy Pietro był hazardzistą?

Groggy! Nokaut na stojąco! Teraz rozumiała, co to znaczy. Z ust komisarza padały jakieś słowa. Colette słyszała, rozumiała, ale nie reagowała. Pietro nie żyje! Czuli się jak bokser, który trenuje uderzając w pierzynę.

Każde słowo policjanta spadało na nią jak cios pięści. Ale cios cichy i miękki. A ona była jak odrętwiała, nic nie czuła.

- Brygada do zwalczania gier hazardowych ufunduje pani mężowi pomnik. Od wczoraj zrobili pięć rewizji w pokątnych salach gry. Czy zna pani Charlotte Corday?

Co ten człowiek wygadywał? Charlotte Corday? Wydawało się jej, że postradała zmysły.

Obłok rozproszył się, wróciła do rzeczywistości.

- Charlotte Corday? Organizuje pan jakiś turniej dla telewizji? „Czy zna pani Charlotte Corday?”... czyli najnormalniejsze śledztwo prowadzone przez policję.

- Mówiąc poważnie, wśród danych na temat różnych miejsc, gdzie można wesoło spędzić czas, znaleźliśmy tylko jedno oryginalne nazwisko: Charlotte Corday. Obok zapisano numer telefonu.

Colette znów mogła mówić normalnie.

- I oczywiście zatelefonowaliście tam...

- Dla nas numer telefonu to tyle co adres. Poszliśmy.

- I było to Muzeum Dwusetlecia Rewolucji Francuskiej?

- Proszę nie ironizować. To sklep z pieczywem.

Znów coś się nie zgadzało.

- Sklep z pieczywem w VII dzielnicy. Pod jego numer telefonowano do właścicielki sąsiedniego antykwariatu.

Młoda kobieta patrzyła na niego pytająco.

- Zaintrygowało to panią? Nas także. Z nie znanego mi jeszcze powodu niejaka Laurence Villars korzystała z telefonu sąsiadki, właścicielki sklepu z pieczywem. Kiedy ktoś prosił Charlotte Corday, sprzedawczyni chleba biegła do antykwariatu.

- Tak... i co dalej?

- Czy pani zna Laurence Villars?

- Nie. Czyżby nie miała telefonu i dlatego każe telefonować do siebie pod numer sąsiadki?

Dubois odpowiedział pytaniem na pytanie.

- Czy Pietro nigdy nie wymieniał przy pani jej nazwiska?

- Słyszę je po raz pierwszy. Jaki ma związek z moim mężem?

- Pozornie żadnego. Osoby te łączył może zawód, bo Pietro kradł dzieła sztuki, a Laurence je sprzedaje. To wszystkie elementy, jakimi dysponujemy, zważywszy fakt, że używanie telefonu sąsiadów nie jest przestępstwem. Proszę mi powiedzieć... Czy coś pani mówi nazwisko Frédéric Cheney?

- Czy, pańskim zdaniem, powinnam znać tego człowieka?

- Niekoniecznie, ale - to dziwny zbieg okoliczności - on także został zamordowany.

- Czy to znaczy, że muszę znać wszystkie osoby, które zmarły gwałtowną śmiercią - od Marata do Stalina, od idów marcowych aż do przyszłego księżyca? Dlaczego pan pyta?

- Och, tak sobie. Frédéric Cheney był zięciem Laurence Villars. Obaj, adwokat i włamywacz, zostają

zamordowani, ginie też osoba, którą obaj denaci znali: nie sądzi pani, że to interesujący rebus dla policjanta? My, gliniarze, nie jesteśmy geniuszami, ale lubimy równania z wieloma niewiadomymi. Co pani o tym myśli, pani Chiglione?

- Nic. Od jedenastu miesięcy nic już nie myślę, ograniczam się do wierzenia na słowo. Zapytajcie lepiej tę Laurence jakąś tam! Ona na pewno wie, co o tym myśleć.

Wysoki policjant uśmiechnął się.

- Dziękuję za radę, będę o niej pamiętał. Ale jeśli się pani czegoś dowie, proszę dać mi znać, tak będzie lepiej dla wszystkich.

Dubois dał koledze znak i skinął Colette głową. Ci-cho zamknęli za sobą furtkę do ogródka.

W łazience Colette znalazła flakonik ze środkami uspokajającymi i połknęła dwie jasnoróżowe pigułki. Nie dopuści, aby w jej duszy zagnieździło się przerażenie. Wystarczy zwykły strach.

\*

Przy telefonie mruga światło automatycznej sekretarki. W aparacie odzywa się głos Fernanda.

- Martwy Byk będzie czekał na ciebie dziś wieczorem w porze apéritifu.

Po południe wlecze się w nieskończoność. Chodzę z kąta w kąt. Telefon od Loicka. Proponuje mi pracę animatora w jakimś wakacyjnym klubie.

- Będziesz mógł odpocząć sobie przed początkiem jesiennego sezonu w teatrze.

Tłumacząc mojemu ulubionemu impresariowi, że narzeczcie robię jakieś postępy w sprawie Cheneya. Dopóki Maria nie zostanie całkowicie uniewinniona, pozostanę klientem Państwowego Urzędu Zatrudnienia. Loïck wydaje ciężkie westchnienie.

- Powinieneś być raczej gliną niż aktorem. Masz talent, wiesz?

*To be or not to be.* Zastanawiam się, czy ta wysoka ocena dotyczy moich talentów aktorskich czy detektywistycznych. Ale już odłożył słuchawkę.

Szósta trzydzieści. Pędzę do Gospody pod Królewskim Węglarzem. Martwy Byk siedzi przy barze i sący białe wino z sokiem owocowym. Ja też zamawiam jakiś trunek. Czeka, jak na dobrego policjanta przystało.

To godzina największej frekwencji i kawiarnia jest właściwie jednym wielkim huczącym ulem.

- Chciałbym z tobą porozmawiać, ale w tych warunkach to niemożliwe.

- OK, chodź do mnie, mam koniak z moich rodzinnych stron. Pochodzę z Charente. Podobno jesteś konserem.

Przechodzimy przez ulicę de la Convention i lądujemy na ulicy de Lourmel.

- Mieszkam tam, przy dawnym Świńskim Trakcie. Piękna nazwa dla ulicy, przy której mieszka policjant, nie sądzisz?



Odkrycie. Nie wiedziałem, że ma takie poczucie humoru.

Niewielki dom bez windy. Trzecie piętro. Na drzwiach miedziana, błyszcząca tabliczka z jego nazwiskiem: Delécluze.

Kolejna niespodzianka: w mieszkaniu jest mnóstwo książek. Najwidoczniej bawi go moje zdziwienie.

- Ty także wyobrażałeś sobie, że wszyscy gliniarze to analfabeci?

Ruchem ręki pokazuje mi bibliotekę.

- Kocham tylko książki i swoją pracę. Życie pełne marzeń i życie pełne krwi. Moje serce oscyluje między tymi biegunami. W czym ci mogę pomóc?

Snuję opowieść o moim rzekomym wypadku i pytam, czy mógłby ustalić nazwisko właściciela peugeotu 61 GNW 14.

- Nie ma sprawy. Zatelefonuję do ciebie jutro rano. Ucieczka po stłuczce to paskudna rzecz, ale gdyby w życiu zdarzały się tylko takie historie...

Idzie do kuchni i wraca z małym gąsiorkiem, którego zawartość ma barwę ciemnego miodu.

- To bardzo stary koniak. Skosztuj i zamknij oczy, żeby się nim rozkoszować. To istne słońce w płynie.

A więc gliniarze są teraz liryczni. Ma rację: to prawdziwa małmazja. Dla podobnego nektaru warto uwierzyć w Boga, a nawet stać się integrystą. Jak powiedział pewien rabin, który pewnego dnia zastał swoją żonę w łóżku z sąsiadem: „Widzisz, Saro, zaczyna się od tego,

a kończy się paleniem papierosów w szabas”.

Siedziałem u Martwego Byka do późnej nocy. Tęgo sobie popilem.

Nazajutrz, godzina dziewiąta. Dzwonek telefonu wwierca mi się w czaszkę. Niewątpliwie za dużo było tego słońca w płynie wieczorową porą. To Martwy Byk.

- Didier? Mam dla ciebie informację. Peugeot jest zarejestrowany na nazwisko niejakiej Alice Vinay, Droga na Wydmach w Honfleur, w departamencie Calvados. Nie, na tej ulicy domy nie mają numerów. *Ciao*.

Stokrotne dzięki. Biegnę pod prysznic, wypijam kawę i siadam za kółkiem mojej renówki.

W alei de Versailles staję pod automatem telefonicznym i dzwonię do Neurona, a potem do Loïcka. Na wszelki wypadek mówię im o swoim odkryciu. Gdyby coś się ze mną stało, będą mogli podjąć śledztwo i pomóc Marii.

Honfleur.

Nie mam czasu na zachwyty. Szybko pytam o drogę. Samochód pnie się wzdłuż ujścia Sekwany. Jadę prostą drogą, to właśnie Droga na Wydmach. Nie zabudowane place oddzielają samotne wille lub dawne farmy przerebione na letnie rezydencje. Są ładne, bogate, jasne.

Potem pusta droga. Żadnej zabudowy. Zawracam. Zostawiam samochód i dalej idę pieszo, jakież trzysta

metrów. Na białym słupku skrzynka na listy, a na niej nazwisko: A. Vinay. A więc jestem na miejscu. Ogarnia mnie lęk. Przypominam sobie przygodę Loïcka. Firanka się uchyla.

\*

Furtka jest otwarta. Wchodzę. Idę w kierunku domku zbudowanego z białego, pruskiego muru. Tam również drzwi są nie domknięte. Mrok. Pytam:

- Jest tam kto?

Zdążyłem zobaczyć kobietę o bardzo bladej twarzy, patrzącą na mnie tak, jakbym ja także był widmem. Pamiętam też uderzenie w kark. Zupełnie jakby byk szarżował na matadora, którym przecież nie jestem. Nie wiedziałem, że w Normandii trzymają byki w domu.

Słońce znika. Padam na ziemię.

\*

To nie film, więc otwierając oczy nie spytałem: „Gdzie jestem?” Guz u podstawy czaszki również nie jest wytworem mojej wyobraźni. W głowie rozbrzmiewa mi hałas taki, jakby szarżowała brygada lekkiej kawalerii. Boże, co za huk!

Podnoszę się, chwiejnie podchodzę do zlewu w kuchni i puszczam sobie strugę zimnej wody na twarz. W porządku, mój mózg znowu funkcjonuje i rejestruje

obraz jakiegoś ciała leżącego na brunatno-czerwonych pomidorach. Rozpoznaję twarz widma, które spoglądało na mnie, kiedy tu wszedłem pięć minut, a może pięć lat temu, sam już nie wiem. To kobieta. Z jej potarganych, siwych włosów sączy się strużka krwi. Kucam przy niej. W porządku, nie kręci mi się w głowie.

- Proszę się nie bać, pomogę pani.

Biorę jakąś szmatę, moczę ją pod kranem i okręcam nią głowę starej kobiety. Jęczy i coś do mnie mówi.

- Zawiadomić moją córkę... Colette Chiglione... Tak, szybko, Roger w niebezpieczeństwie, szybko... Marsyl...

- Gdzie mieszka pani córka?

- W Paryżu... Moulin vert.

- Co takiego? Jaki moulin vert\*?

\* Zielony młyn.

Milczenie. Nachylam się niżej. Serce bije. Tylko zemdląca.

Rozglądam się za telefonem i dostrzegam powyrywane kable i rozbitą słuchawkę. Nie mam czasu, żeby tu poszperać. Nie wiem, czy facet, który mnie zaatakował, nie kręci się gdzieś w pobliżu. Wracam do samochodu i gnam do miasta. Nareszcie poczta. Zawiadamiam żandarmerię, nie podając swego nazwiska, i szukam w paryskiej księżce telefonicznej.

Jest, Chiglione, zaulek du Moulin-Vert. Zapisuję wszystkie namiary i wracam do samochodu. Podczas

jazdy klnę w żywy kamień. Zupelne fiasko. Ta stara kobieta na pewno nie zabiła Cheney'a, ale ból w karku przypomina mi, że w całej tej historii jednak jest jakiś czarny charakter.

Moja renówka gna jak szalona.

Paryż. Jadę do domu, aby posłuchać mego *alter ego*, mojej ulubionej automatycznej sekretarki. Korzystam z okazji, by zająć się guzem, który trochę krwawi. Bydłę... Miał ciężką rękę. Padam ze zmęczenia i postanawiam zafundować sobie godzinną sjętę. Jestem tak wyczerpany, że o niczym nie myśląc, rzucam się na łóżko. Budzę się dopiero nazajutrz. Czeka mnie wizyta u pani Chiglione...

\*

Samochód straży pożarnej stoi w poprzek ulicy des Plantes, a tuż obok karetka pogotowia ratunkowego i wóz pogotowia policji. Z wyciem syren nadjeżdżają inne pojazdy wzywane w nagłych wypadkach. Wszędzie pobłyskują ich światła. Można by rzec, że przystrojono nimi ulicę. Zapora ustawiona przez policję broni wstępu do zaułka du Moulin-Vert. Z jednego z domów unosi się chmura dymu.

Pytam jednego z gapiów, co się stało.

- To bomba. Pieprznięła dziesięć minut temu. Przechodziłem akurat obok zaułka i aż tutaj czułem jej podmuch.

- Może to wybuch gazu?

- Nie, to znowu robota ajatollahów albo wędrownych derwiszy.

- Co to takiego? - pyta jakiś zgarbiony mężczyzna z siwą głową.

- Cudzoziemscy robotnicy, do cholery. Są derwisze-tokarze i derwisze-frezerzy. Są nawet derwisze-krzykacze. Jak w tej sytuacji może nie być bezrobocia? Wielu Francuzów chętnie wzięłoby podobną robotę, możesz mi wierzyć.

Zostawiam obydwu gapiów z ich problemami i podchodzę do grupy policjantów, którzy rozmawiają z jakąś młodą kobietą.

- Czego pan chce? Nie widzi pan, że ulica jest zamknięta? Proszę odejść.

- Szukam pani Chiglione, która tam mieszka.

Podchodzi do mnie jakiś cywil.

- Czego pan od niej chce?

- Powiem jej to osobiście.

Facet daje znać. Po obu moich stronach staje dwóch mundurowych. Usiłuję się bronić i już mam na rękach kajdanki. Za dużo tego. Wczoraj rano dostałem pałką po głowie, a dzisiaj zakuli mnie w kajdanki. Wrzeszczę. Policjanci popychają mnie w kierunku samochodu.

Słyszę, jak tłum szemrze.

- To Arab!

- Nie, pedał!

- Co ty, zwariowałeś, bracie?! To derwisz! I to jeszcze bezczelny, przed chwilą o coś mnie pytał.

- Musisz powiedzieć o tym glinom.

- Tak, policja liczy, że każdy obywatel spełni swój obowiązek. Panie władzo! Panie władzo!

Samochód rusza. Z tłumu podnosi się okrzyk:

- Powiesić go!

Czy to do mnie ten miłosny śpiew? Chyba tak. Na horyzoncie nie widać żadnego Araba ani Murzyna, nie ma wątpliwości, ta manifestacja populistycznej czułości jest przeznaczona dla mnie.

Jazda na syrenie. Cela. Brygadier zdejmuje mi kajdanki. Guz na potylicy rośnie. Wołam strażnika i żądam lekarza. Muszę za wszelką cenę stąd wyjść.

Strażnik wzrusza ramionami.

- Mamy tu wszystko, co trzeba, żeby cię opatrzyć, zaczekaj, aż przyjdzie naczelnik. Czy to prawda, że jesteś derwiszem?

Godzina. Dwie. Strażnik wraca, otwiera drzwi.

- Proszę za mną, komisarz chce z panem porozmawiać.

Stwierdzam, że mój status człowieka zapudłonego widocznie się poprawił, bo facet nie zwraca się już do mnie *per ty*.

Schludny gabinet, gdzie czeka na mnie trzech mężczyzn: miejscowy naczelnik i moi starzy znajomi, Du-bois i Belmain.

- Proszę usiąść, panie Valois. Jak się pan czuje?

- Dlaczego mnie zamknęliście? To nadużycie władzy.

- Proszę się nie denerwować. Krótko zrelacjonuję

sytuację: w centrum Paryża wysadzono w powietrze dom. Parę minut po wybuchu przychodzi jakiś mężczyzna i chce zobaczyć się z panią Chiglione. Dziwnym trafem jest ona właścicielką zniszczonego domu. Ponadto przed paroma dniami jej mąż, Pietro, został zamordowany. Co by pan zrobił na naszym miejscu?

Napięcie ustępuje. Przystaję się wiercić na krześle i nie odzywam się.

- Prosił pan o lekarza? Coś panu dolega?

Nie ma sensu opowiadać im o mojej przygodzie w Honfleur.

- Nie, dziękuję, nic mi nie jest. Chodziło o pretekst, żeby wyjść z mamra.

Wtrąca się Dubois.

- A może powiedziała by pan nam teraz, czego pan chce od pani Chiglione? Skąd pan ją zna?

- Staram się zdjąć z Marii Cheney podejrzenie o zbrodnię, o którą jest oskarżona, i nie robię nic zabronionego prawem, usiłując się czegoś dowiedzieć. Nie odpowiem więc na pańskie pytania.

- Panie Valois...

Mówi spokojnie, ale czuję, że stary Dubois jest poirytowany.

- Panie Valois, zacieranie śladów jest karalne. Przypominam panu, że chodzi o zabójstwo i może pan zostać oskarżony o współudział. Proszę mi powiedzieć, co panu wiadomo.



- A jeżeli tego nie zrobię?
- Zamknę pana.
- Na urzędowe czterdzieści osiem godzin? Proszę bardzo.

Wysłuchuję całej listy pogróżek, znam ją już na pamięć: zniewaga funkcjonariusza, parkowanie w miejscu niedozwolonym, zanieczyszczanie miejsc publicznych (tak się to nazywa), bo się wysiusiałem pod płotem, itd., itp. Żaden sędzia nie zamknie mnie jedynie na podstawie słów Dubois. Wiem także, że zależy im, bym pozostał na wolności, i że odtąd będzie mi towarzyszył nieustannie anioł stróż. Jego Eminencja Dubois wygłasza swą tyradę. A ja jestem jak z kamienia.

Belmain częstuje mnie papierosami. Milczę. Dubois wygląda przez okno, wzdycha i powraca do mnie.

- Jest pan zamieszany w paskudną historię, chłopie. Dwa zabójstwa i jeden zamach przy użyciu materiałów wybuchowych - to drogo kosztuje w sądzie przysięgłych. My, gliniarze, nie jesteśmy geniuszami, tylko ludźmi upartymi, zwłaszcza ja, i zrobię wszystko, by cię dopaść, artysto. Masz to u mnie jak w banku.

Biedny Dubois, ogląda za dużo amerykańskich seriali w telewizji. To nie Ameryka, gdzie prokurator nakłania do zeznań w zamian za zmniejszenie kary. Zresztą on świetnie o tym wie.

- Jest pan wolny, ale proszę pamiętać, że lepiej mieć we mnie przyjaciela.

\*

Nareszcie jestem na ulicy.

A teraz do Gospody pod Królewskim Węglarzem. Idę przez wszystkie uliczki XV dzielnicy. Bez przesady można powiedzieć, że to ciągle wieś. Zresztą w małych uliczkach można łatwiej się zorientować, czy ktoś za tobą idzie, czy nie. I właśnie koło placu Falguière widzę, że mam anioła stróża. To kobieta. Ta sama, która rozmawiała z policjantami w zaułku. Cwaniaki z tych gliniarzy, kazali mnie śledzić kobiecie. Dubois myślał, że to nie wzbudzi moich podejrzeń. Mimo bólu głowy świetnie się bawię i daję nurka do domu towarowego Beaugrenelle. Potem Front de Seine... świetne miejsce, żeby kogoś zgubić. Ciągnę moją policjantkę ku budynkowi z Totemem, wracam do hotelu Nikko i chowam się za filar. Moja Diana Łowczyni jest coraz bliżej, widzę ją. To trzydziestoletnia blondynka o szafirowych oczach i niemałym wdzięku, mimo że twarz ma upstrzoną krwawymi wybroczynami. Niewątpliwie nabawiła się ich podczas wykonywania jakiegoś służbowego zadania. Niepewnie rozgląda się za mną, a kiedy przechodzi tuż obok, chwytam ją za rękę i przyciągam do siebie.

- No co, laluniu, bawimy się w chowanego?

Odpowiada mi hardo:

- Nie jestem pańską lalunią, niech mnie pan puści.

- Ależ tak, jeśli gliniarze to pajace, pani jest lalunią.

Jako zwolennik tradycyjnej gramatyki, lubię uwzględniać rodzaje - męski i żeński.

- Niech mnie pan puści, bo będę krzyczeć. Nie pracuję w policji.

- Co pani powie?

- Nazywam się Colette Chiglione i właśnie wysadzono w powietrze mój dom. Chciałam się dowiedzieć, czego pan ode mnie chciał, wtedy gdy pana zamknęli.

Ciągle ją do siebie przyciskam. Jest miękka i ciepła, a muszę przyznać, że to lubię. Jakiś przechodzący obok mężczyzna puszcza do mnie oko. Otwieram ramiona. Colette rozciera sobie ręce. Musiałem ją mocno ścisnąć. Z torebki wyciąga swoje prawo jazdy i wręcza mi je.

- Mówię prawdę, niech pan przeczyta. Colette Chiglione. Dlaczego mnie pan szukał?

Proponuję, byśmy poszli pod Królewskiego Węgłarza. Po drodze opowiada mi, jak cierpliwie czekała przed komisariatem, aż mnie zwolnią. Od czasu do czasu skręcam w jakąś znaną ulicę, gdzie mogę się zorientować, czy ktoś za mną idzie. Spróbujcie tropić kogoś w dni, kiedy na ulicy de la Convention jest targ!

Fernand wita nas szerokim uśmiechem. Opowiadam Colette Chiglione o wszystkim - o prowadzonym przeze mnie śledztwie, o Nyży, o mojej wyprawie do Norman-dii.

Blednie i nagle wydaje mi się, że wybromczyły na jej twarzy stały się większe.

- Niech pan pozwoli ze mną, muszę zatelefonować.

W kabinie telefonicznej stoimy bardzo blisko siebie

i czuję to samo ciepło, co koło hotelu Nikko. Krótka rozmowa. Wracamy do stolika.

- Wszystko w porządku. Roger, to znaczy mój synek, jest w bezpiecznym miejscu, a matka leży w szpitalu. Wraca do zdrowia. Dziękuję, że wezwał pan żandarmów.

Teraz ja zadaję pytania. Mam wrażenie, że niczego nie ukrywa i opisuje mi swoje przygody. Peugeot należy do jej matki, Pietro pożyczył go, kiedy przywiózł do niej Rogera.

- Czy domyśla się pani, co mógł robić u mecenasa Cheney'a?

- Nie mam zielonego pojęcia. Pietro to hazardzista, nie morderca.

Mówi bez ustanku, szczęśliwa, że nareszcie może się przed kimś wywnętrzyć. I nagle grom z jasnego nieba. W jej opowieści nazwisko Laurence Villars pada między włamaniem dokonany przez Pietra a pytaniem zadany przez Marsylczyka. Wszystko zostało już powiedziane, zastanawiam się tylko, jakim elementem układanki jest Charlotte Corday.

Postanawiamy dalsze poszukiwania prowadzić razem i całkiem serio proponuję Colette, żeby u mnie zamieszkała, bo przecież jej dom został zniszczony.

W bistrze pojawiają się Neuron, Ofelia i Loïck. Żona Loïcka znów dostała bzika na punkcie architektury.

Za zgodą Colette opowiadam moim przyjaciółom jej przygody. Burza mózgow - jak mówią urzędnicy nowego typu na swych seminariach, gdzie nie ma Boga, nie

ma Marksa, nie ma Keynesa i nie ma nadziei. Całą historię rozkładamy na czynniki pierwsze.

- Zapomnieliśmy o jednym elemencie - mówi Neuron - a mianowicie o rodzicach Frédérika. Jesteś pewny, Didier, że wiedzą o twoim romansie z Marią? A może to im Frédéric powierzył akta, których szukają goryle?

- Chomel twierdzi, że Joseph szukał już u starych Cheneya. Bez rezultatu.

- Przypomnij sobie słowa mego kuzyna, księcia Orańskiego: „Nie trzeba pewności sukcesu, aby zacząć wojnę...” Pójdźmy do nich. Poza tym Laurence Villars pojawia się w dwóch kryminalnych sprawach, które pozornie nie mają ze sobą nic wspólnego, trzeba by spotkać się z tą damą. Ale wszystko w swoim czasie. Kto ze mną pójdzie do rodziców Frédérika?

Dyskutujemy. Pada na Loïcka. Nie ma mowy, żebym ja pojawił się w Créteil.

Zawożę Colette do siebie i moszczę jej jakiś kąs. Automatyczna sekretarka nic nie zarejestrowała. Maria milczy.

Pędzę do Nyży, żeby zdać mu ze wszystkiego relację. Jestem mu to winien.

\*

Mieszka na szóstym piętrze, ma tam na poddaszu trzy pokoiki, które kazał połączyć. Stary często mnie do siebie zaprasza. Nie czujemy różnicy pokoleń. To przyjaciel.

Drzwi są uchylone. Dzwonię i otwieram je. W pierwszym pokoju pali się światło. Wołam:

- Hej, Nyża! To ja, Didier.

Ani słychu, ani widu. Przez okienka w suficie pada słońce, przesiane przez szpary w żaluzjach.

Drugi pokój. Najwidoczniej tutaj sypia. Niski tapczan z rozrzuconą pościelą stoi w rogu na wprost okna. Widać z niego tylko prostokąt nieba. Na ścianach kilka zdjęć z dedykacjami od mistrzów sportu. Marcel Cerdan i Walczak śmieją się do Antonina Magne, Bietto i Coppi wiszą na przeciwległej ścianie. Umocowana nad łóżkiem kierownica roweru przypomina poroże młodego jelenia. Każdy ma takie trofea, na jakich mu zależy!

Znowu wołam. Cisza jak makiem zasiał. Wchodzę do następnego pokoju. Tonie w półmroku, zasłona na okienku zaciągnięta. Nyża jest tutaj, stoi na środku pokoju. Wydaje mi się jakoś dziwnie wyższy niż zazwyczaj. Jego opuszczona na bok głowa tworzy kąt ostry z ramieniem. Stary patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami. Ciekawe... Co on ma na szyi? W półmroku kiepsko widzę.

- Hej, Nyża!

Nie odpowiada. Pociągam za sznurek przy zasłonie. Wpada światło. A z nim śmierć.

Jak się okazuje, nogi starego nie sięgają ziemi. Dyn-dają dziesięć centymetrów nad dywanem. Biała linka okręcona wokół kołnierzyka jest przymocowana do haka w suficie, na którym wisi mosiężny żyrandol.

To nie samobójstwo. Ręce Nyży są związane identycznym sznurkiem jak ten, który ma na szyi. Dławi mnie rozpacz i wściekłość. Dlaczego?! Co za łajdak powiesił mego przyjaciela?!

Mój urywany oddech powoduje dziwny hałas. Można by rzec, że to moja renówka, kiedy rano nie chce zapalić. Staram się uspokoić, opanować panikę, ale kiedy dotykam piersi starego, ręce mi drżą. Nic. Serce już nie bije. Koniec. Ciało jest zimne.

Biegnę do telefonu i wykręcam 17. Anonimowy głos kobiety powtarza zarejestrowany tekst: „Tu policja. Proszę czekać!”

Wyrzucam z siebie kilka słów, mówię o nagłym zgonie, podaję adres Nyży. Natychmiast odwieszam słuchawkę i wybiegam na schody. Nie ma mowy, że bym spotkał się tutaj z kolegami oberszefa, pana Dubois.

Na ulicy staram się iść normalnym krokiem. Serce bije mi szybciej, gdy uświadamiam sobie, że w całym mieszkaniu Nyży pozostawiłem swoje odciski palców. Jeśli Dubois dowie się o mojej wizycie, będę miał się z pyszna.

Pod Królewskim Węglarzem pusto. Fernand widzi, że dzieje się ze mną coś niedobrego.

- Co ci jest?
- Daj mi koniaku!

Duszką wychylam kieliszek.

- Jeszcze raz.

Fernand podaje mi kolejną porcję trunku, który wypijam równie szybko.

- Jesteś strasznie błądy. Co ci się stało?
- Nyża nie żyje. Został zamordowany.

On także jest wstrząśnięty i nalewa sobie kieliszek.

- Opowiadaj.

Zropaczony spuszcza głowę. Strasznie ciężko jest się pogodzić z utratą prawdziwego kumpla.

- Wezwałeś policję?
- Zadzwoiłem do nich i zwiąłem. Tym razem zapudłowałiby mnie bez wahania i przyznają, że na ich miejscu postąpiłbym tak samo.

W głowie obsesyjnie huczy mi ponury leitmotiv, głuchy głos bębnow ilustrujący śmierć Zygfyda. Głowa mi pęka. Dlaczego? Słyszę tylko to jedno: dlaczego?

Neuron i Loïck wracają z wyprawy do Créteil.

Mówię im o śmierci Nyży. Kulą się, jakby ich uderzono, a Neuron dorzuca swoje „kto?” do „dlaczego?”, pytania, które mnie dręczą.

Czas stanął. Colette zajmuje miejsce za barem, a Fernand przyłącza się do nas. Jesteśmy sami na świecie.

\*

Trzeba przerwać tę ciszę, inaczej za pięć minut wszyscy rozplączemy się jak dzieci. Pytam:

- A rodzice Frédérika?
- Byliśmy u nich. Niezbyt długo. Otworzył nam



ojciec. Człowiek stary, zupełnie stetryczały, ma bzika na punkcie kobiet i komunizmu. Kiedy rozmawialiśmy z jego żoną, nie odchodził ód okna i zerkał na przechodzące ulicą babki.

- „Widziałeś tę ślicznotkę? Popatrz tylko, jaki ma biust, jakby się ciągnął od Atlantyku po Ural. To komunistka, mówię ci. Trzeba zrobić porządek ze wszystkimi komunistami i wszystkimi wielkimi cyckami. Przyczyną wszystkich naszych nieszczęść są cycki i komuniści. Popatrz no tylko... Boże! Co za przedsięwzięcie! To stalinowska prowokacja...”

Jednym słowem, kretyn. Stara go jakoś spacyfikowała. Ona to inna para kaloszy, kupka nerwów podłączona do prądu o napięciu dziesięć tysięcy volt. Szybko zamknęła męża w jakimś pomieszczeniu, a kiedy z ust Loïcka padło słowo „dokumenty”, sprawa przybrała bardzo niepomyślny obrót. Stara otworzyła szufladę i wyjęła z niej sześciostrzałowy rewolwer typu Magnum.

„Należał do mego syna i umiem się nim posługiwać”.

Pokazała nam drzwi.

„Wynocha! I ani mru-mru! Jeśli wy jesteście agentami ubezpieczeniowymi, to ja jestem papieżycą Joanną. Precz stąd! I to już!”

Wniosek? *Nada*, jak powiedziałby Manchette. *Niczewo* i morda w kubel, kompletne fiasko.

Znów zapada cisza. Każdy myśli o Nyży.

- Mam nagle takie wrażenie - mówi Loïck - że wszyscy jesteśmy zagrożeni. Wsadziliśmy rękę w rzekę pełną piranii, to pewne. Teraz trzeba będzie się oglądać,

czy kogoś nie ma za plecami, i przechodzić przez jezdnię na czerwonym świetle. Dobry Boże, ale dlaczego?

Ustalamy, że spotkamy się jutro, i rozchodzimy się do domów.

\*

Colette czeka na mnie. Siedzi w fotelu i słucha informacji płynących z tranzystora. Na pierwszym miejscu ciągle tunel Fourvières. Korek paraliżuje teraz Bresse i Burgundię. Władze apelują do dawców krwi.

Potem spiker mówi o śmierci starego człowieka w XV dzielnicy i pyta: „Czy po serii morderstw starych kobiet w XVIII dzielnicy nastąpi teraz seria morderstw starych mężczyzn z XV dzielnicy?” Facet opowiada, jak znaleziono ciało Nyży. Jego zdaniem, policja jest na tropie mordercy. Trwają intensywne poszukiwania jednego z podejrzanych, który powinien być przesłuchany w charakterze świadka. Czy jest on autorem anonimowego telefonu do pogotowia policyjnego, czy też prowokatorem opłacanym przez zagranicę, by zdestabilizować rząd? Nie wydaje się, aby przyczyną zbrodni była kradzież.

Gaszę radio i opowiadam o wszystkim Colette. Słucha, zamyśla się.

- Jeśli dobrze zrozumiałam, niczego u Nyży nie skradziono?

- Nie, z jego mieszkania nic nie zginęło.

- Czy staruszek miał wrogów?

- Nyża? Wrogów? Wykluczone.

W jej oczach pojawia się błysk.

- To on podał panu numery peugeotów? Nikt inny?

- Tak, i co z tego? Tylko ja znałem tę hist... Urywam jak rażony gromem.

Colette patrzy na mnie jeszcze uważniej.

- Komu pan o tym mówił?

Nie mogę wykrztusić słowa. Jediną osobą, której o tym opowiedziałem, jest Maria. Wszystko staje mi przed oczami, scena w samochodzie po jej wyjściu z Bois-d'Arcy, pytanie Marii: „Czy widział coś?” i moja odpowiedź.

Do diabła! W głowie mam straszny mętlik. To niemożliwe, niemożliwe, a jednak...

Rzucam się do telefonu i wykręcam numer informacji. Po dziesięciu minutach dostaję numer willi w Milly. Jeden sygnał, pięć, dwadzieścia. Nikt się nie zgłasza. Może Maria i Laurence poszły na spacer. Las jest taki piękny o tej porze roku.

Colette nie spuszcza ze mnie oczu.

- A może pojechalibyśmy tam? Mam broń.

- Ja także.

Wyjmuję ze schowka colta 45, wojenną zdobycz ojca. Nigdy się nim nie posługiwałem, ale ostatnio zbyt często zalecano mi ostrożność.

## ***Rozdział XIII***

Ta sama biała aleja, ta sama dziewczynka na rowerze. Gram *remake* w tych samych dekoracjach.

Carole wita nas swoją „mrówką”.

Colette patrzy na dziecko z rozrzewnieniem. Czekam na koniec wierszyka i klaszczę.

- Brawo! Czy wiesz, że świetnie deklamujesz?

Twarz dziewczynki rozjaśnia się.

- Kiedy będę duża, zostanę aktorką, jak mama.

- Właśnie chciałbym się z nią zobaczyć. Jest w domu?

- Nie, zatelefonowała Lea i...

Z domu dochodzi jakiś krzyk. Nadbiega kobieta w białym fartuchu, opiekunka małej. Tylko tego brakowało.

- Carole! Chodź tutaj. Nie wolno rozmawiać z nieznajomymi.

Kobieta zbliża się do mnie z kwaśnym uśmiechem.

- Czego pan sobie życzy?

- Chcę się zobaczyć z Marią.

- Pani Cheney wyjechała. Kim pan jest?

Gdyby nie dziecko, odpowiedziałbym: jej kochankiem!

- Nazywam się Didier Valois. Kiedy Maria wróci?
- Nie wiem. Ostatnie przejścia bardzo ją wyczerpały, pojechała z matką na wypoczynek.

Im gwałtowniej nalegam, tym bardziej jest lakoniczna. Carole patrzy na mnie ze spuszczoną głową. Zupełnie jakby chciała mi coś powiedzieć.

- Czy pan znał mojego tatusia?
- Carole!

Opiekunka chwyta dziewczynkę za rękę. Puszczony rower pada na żwir. Kobieta i mała oddalają się. W alei przednie koło roweru obraca się jak koło jarmarcznej loterii. Ktoś wygra główny los. Ale kto?

\*

W samochodzie zdaje mi się, że Colette drzemie. Jedziemy do Bleau. To tuż obok. Samochód podskakuje. Colette otwiera oczy, przeciąga się.

- Ten wyjazd przypomina ucieczkę, prawda?

Nie wiem już, co myśleć. Ucieczka? Bez dziecka? Na pewno nie. Potrzeba wypoczynku? Chęć przeczekania, aż się wszystko uspokoi? Może. Niemniej jednak odkrywam inną Marię, niepodobną do kobiety, którą kochałem. Dlaczego mówię w czasie przeszłym? Poprawiam się: Marię, którą kocham. A jeśli chodzi o sprawę z Nyżą, bez wątpienia Maria wszystko mi wyjaśni.

Samochód jedzie wzdłuż lasu. Zbliżamy się do willi Mancinich.

Dzwonię i otwiera mi nie matka Lei, ale olśniewająca kobieta o rudych włosach, białej cerze i twarzy jak z Botticellego, w której lśnią szmaragdowe oczy. Burza włosów, opadająca w puklach na szyję i ramiona jak grzywa dzikiego zwierzęcia, sięga aż do pasa. Jestem zaskoczony urodą dziewczyny.

- Zwariował pan chyba, panie Valois, żeby tak dzwonić.

- Czyżbyśmy się znali?

Usta krzywią się w ironicznym uśmiechu, przypominają ciemnoczerwoną śliwkę. Uwielbiam to.

- Maria pokazała mi kiedyś pana zdjęcie w *Hernaním*. Ale proszę do środka.

Przypominam sobie, że istotnie grałem Hernaniego dla grupy ciężko upośledzonych, bo dla kogo innego można by dzisiaj zaryzykować wystawienie podobnego tekstu?

Wzdycham. Colette słucha i milczy. Czuję, że moja współniczka ma się na baczności.

W salonie nie ma już pokrowców na meblach.

- Jak się miewa pani matka?

- Dziękuję, dobrze, jest na wakacjach w Bretanii, u swojej siostry.

Dziwne, ostatnio ludzie wokół mnie dużo podróżują. Chyba że umyślnie znikają z pola widzenia. Dość już wymiany zdań na tematy obojętne.

- Gdzie jest Maria?

- Skąd mam wiedzieć, nie widziałam jej od chwili aresztowania.

- Przecież telefonowała pani do niej wczoraj.  
- I co z tego? Nie wolno?  
- Wolno, ale po rozmowie z panią dała nogę. Prze-  
staśmy się bawić w kotka i myszkę, panno Mancini,  
zostaliśmy wciągnięci - pani również - w jakąś diabel-  
ską historię. Jeden z moich przyjaciół przyplącił to ży-  
ciem. Czas z tym skończyć, a kto wie, czy pani nie bę-  
dzie następną ofiarą. Albo mi pani wszystko opowie,  
albo...

- Albo...

Udaje zucha, ale po oczach widać, że się złąkla.

- Nie... nie chciałam...

Cisza jak makiem zasiał. Wydaje się, że Lea zaraz  
wybuchnie płaczem. Do gry wkracza teraz Colette.

- Czego pani nie chciała? Dostarczyć jej alibi?  
Przyjechała tu we czwartek, prawda?

Zbita z tropu Lea kiwa twierdząco głową.

- Dlaczego?

Lea milczy i spuszcza oczy.

- Leo...

Głos Colette łagodnieje.

- Leo... Zabito mojego męża i szukam mordercy.  
Jest pani zamieszana w te trzy zbrodnie, może nawet nie  
wiedząc o tym, ale ja nie muszę w to wierzyć. Proszę  
nam powiedzieć, co pani wie, i damy pani spokój.

Ruda grzywa faluje wokół twarzy. Lea prostuje się i  
krzyczy:

- Nie mam z tym nic wspólnego! Przecież dobro-  
wolnie sprostowałam swe zeznanie o alibi Marii!

Colette zachowuje się tak, jakby tego nie słyszała.

- Leo... Właśnie wyszłam z więzienia. To ohydne miejsce. Czy pani wie, że w więzieniu dla kobiet dzieją się rzeczy jeszcze gorsze niż w więzieniu dla mężczyzn? I tam nie brak prowodyrek pozbawionych skrupułów. Przy swej urodzie szybko zostanie pani niewolnicą jakiejś stręczycielki. Jest pani bardzo piękna, Leo, ale w celi szybko pani zwiędnie, bardzo szybko.

Lea otwiera szeroko oczy.

- Ależ ja nic nie zrobiłam, przysięgam.

- Przysięgi proszę zachować dla sądu. Co we czwartek robiła u pani Maria?

Przez chwilę czułem litość, patrząc na ten spłoszony wzrok przypominający spojrzenie małej dziewczynki.

- Nie mogę powiedzieć... Nie mogę.

- Didier! Dzwon po policję.

Mimowolnie przechodzimy na ty. Włączam się w grę. Podchodzę do telefonu, podnoszę słuchawkę. Lea rzuca się do przodu, przytrzymuje dłonią widełki i mówi jednym tchem:

- We czwartek pożyczyłam jej mieszkanie. Na spotkanie z kochankiem.

\*

W mojej głowie defilują postacie wszystkich schizofreników, jakich grałam. Jestem Kaligulą, Raskolnikowem, Arturem Ui. Na szczęście były to tylko role. Ale tu, w tej cichej willi, mam wrażenie, że moje ciało



rozpada się na drobne kawałeczki. Wszystko wali się w gruzy. Ja, Didier Valois, aktor, kochanek Marii Cheney, słyszę spoza sceny głos wypowiadający te straszliwe słowa: „We czwartek pożyczyłam jej mieszkanie. Na spotkanie z kochankiem”. Na twarzy Colette maluje się dziwny uśmiech.

- Wszystko w porządku?

Jakiś ciężar w głowie ciągnie mnie do tyłu. Padam na fotel. Dwie stojące przede mną kobiety nabierają wyraźniejszych kształtów i nareszcie, po dziesięciu wiekach milczenia, słyszę swój głos:

- Tak, tak, w porządku.

Potem czyjś głos pyta:

- Kto to jest?

- Nie wiem.

- Powiedziała pani albo za dużo, albo za mało. Kto to jest?

Słyszę ostry, monotony dźwięk. Piła do metalu tnie żelazny pręt. Żelazo jest twarde, nie chce ustąpić. Czuję, że ostrze piłuje moje nerwy.

- Kto to jest?

Szloch. Lea stara się stłumić łkanie.

Colette podchodzi do niej, obejmuje ją współczującym ramieniem. I Lea pęka. Ostatecznie. Podchodzi do ustawionych na kominku fotografii i bierze znaną mi już ramkę. Tę, w której jest zdjęcie Marii.

Odsuwa palcem tekturkę z tyłu ramki. Ruda piękność wyjmuje z niej portret Marii. Pod nim jest drugie zdjęcie. Lea zamyka oczy i podaje je Colette.

- Nie wiem jak się nazywa.

Colette przygląda się i wydyma wargi.

- Nie znany redakcji - mówi.

Colette podaje mi zdjęcie. Czuję się tak, jakbym dostał pięścią w żołądek. Ręce mi drżą. Zaciskam zęby. Obracam fotografię w palcach, choć nie mam żadnych wątpliwości.

Kochankiem Marii jest ni mniej, ni więcej, tylko mój stary znajomy: Antoine Chomel, facet z firmy Fabrette i Chomel, ten który skończył studia wyższe.

\*

Lea sądzi, że Maria odpoczywa w górach. Gdzie? Tego nie wie. Nic już z niej nie wyciągnę, chyba że podłączę ją do prądu elektrycznego.

Patrzy za nami, zalana łzami.

W drodze powrotnej nie zamieniamy z Colette ani słowa. Zapala mi papierosa. Zaciągam się i prawie natychmiast go gaszę. Między Fontainebleau i Paryżem wykurzyłem prawie całą paczkę. Samochód mknie w kierunku miasta, a ja słyszę, jak każde koło śpiewa piosenkę mego dzieciństwa: „Śpijcie, śpijcie gołąbeczki!” Tak, jestem gołębiem utuczonym, zadręczonym, oskubanym, ale jeszcze żywym.

Zostawiam Colette w moim mieszkaniu i gnam do kancelarii mecenasa Cheney a. W biurze jest tylko Janina Forget, która załatwia sprawy bieżące. Nie mówiąc

nawet dzień dobry, z miejsca przystępuję do rzeczy. Mam wrażenie, że zaraz zwariuję.

- Czy pani wiedziała, że Maria Cheney jest również kochanką Chomela?

Janina szeroko otwiera oczy. Nagle zdejmuje swe okrągłe okulary i zaczyna zanosić się śmiechem. Jej ciało, twarz, oczy opanowuje niesamowity śmiech, który wypełnia cały pokój. Mam ochotę ją uderzyć.

- Niech pani przestanie, na litość boską! Niech pani przestanie, albo...

Podnoszę pięść. Nie pomaga. Janina śmieje się jeszcze głośniejsze. Powoli się uspokaja.

- To nerwowe, proszę mi wybaczyć. Musi pan też przyznać...

Jeszcze jedno nie dokończone zdanie, którego nie rozumiem. Nie mogę się w tym wszystkim połapać.

- Cholerna Maria! Nie, nie miałam pojęcia, że łączyły ich intymne stosunki. Wiedziałam tylko, że Frédéric poznał ją z Chomelem.

- Kiedy to było?

- Trudno ustalić dokładną datę.

Na jej czole pojawia się zmarszczka.

- Frédéric korzystał z goryli Horace'a do ochrony swych mityngów. Maria uczestniczyła w nich. Lubiła politykę. Chomel także. Przypominam sobie wiec pod hasłem obrony społecznej drobnych, zubożałych kupców. To numer neopujadystowski. Nazajutrz usłyszałam, jak Frédéric ironizuje na temat tego spotkania.

Mówił: „Wywarłaś ogromne wrażenie na Chomelu. Będę musiał śledzić i ciebie”.

- I zrobił to?

Janina wskazuje na schowek, w którym jest komputer Cheney'a, i bezradnie rozkłada ręce.

Ze łzami w oczach biegnę do Gospody pod Królewskim Węglarzem, gdzie natykam się na Ofelię.

Jak na dobrego psychologa przystało, słucha tego, co mówię. I to tak uważnie, że podnosi się i zostawia mnie samego. Jestem zdumiony. Co ją ugryzło?

Wracam do domu i sięgam po gąsiorek ze śliwowicą. Colette zaparza kawę i pije filiżankę za filiżanką. Naza jutrz budzę się z najokropniejszym kacem, jakiego miałem w życiu. Za dużo teraz pociągam, ale pomaga mi to jakoś to wszystko znieść. Maria... Co robić? Przypuszczam, że każdy mężczyzna stanął kiedyś twarzą w twarz z takim problemem. A nawet jeśli się mylę, przekonanie, że innym też się to przytrafia, jest pocieszające.

Colette nie ma. Mogła mnie poinformować o swoich planach; wcale mi się to nie podoba. Nie ma obawy, żebym kiedykolwiek zaufał kobiecie. Nigdy więcej... Aż do następnego razu.

Tranzystor. Informacje. W parlamencie debata na temat Fourvières. Nic mnie nie obchodzi tunel i uwięzieni w nim ludzie. Mam inne zmartwienia i czekam tylko na jedno: czy jest coś nowego w sprawie Nyży. Muszę zatem wziąć na wstrzymanie i słuchać dalej.

Francuska Partia Komunistyczna proponuje znacjonalizować tunel.

- Nie - odpowiada Partia Socjalistyczna - trzeba wprowadzić podatek tunelowy. Wszyscy są równi w obliczu korków na drodze!

- Ależ skąd - powiadają gaulliści. - Trzeba zabronić przejazdu przez Lyon samochodom małolitrażowym i wystawić tunel na licytację jako urządzenie TZP, Tak Zwane Przejazdowe.

- Wykluczone! - drą się feministki. - Wprowadźmy *numerus clausus* dla kierowców płci męskiej! Jeden mężczyzna na dziesięć kobiet - oto rozwiązanie!

- Skrajna prawica żąda referendum w sprawie zmiany nazwy Fourvières na tunel imienia Joanny d'Arc.

- Skrajna prawica wprowadza do swego repertuaru nowe hasło i domaga się zakazu przejazdu dla samochodów kolorowych.

- SOS-Rasizm proponuje, aby zapytać imigrantów, co myślą o problemach ruchu drogowego w Trzecim Świecie.

Natomiast ekolodzy nie błysnęli niczym szczególnym i żądają tylko, aby wszystkie czerwone światła przemałować na zielono. Nie jesteśmy przeciwni temu, co postępuje do przodu - deklaruje jeden z ich liderów - jesteśmy tylko przeciwni wszelkiemu postępowi.

Pomimo kłopotów uśmiecham się. Poza tym na naszej planecie to samo, co zawsze: w Bejrucie strzelają

jak co dzień i tak już będzie do następnego stulecia. O Nyży ani słowa.

Jest jedenasta. Colette ciągle nie daje znaku życia.

Doprowadzam się do porządku. Od wczoraj jestem na dnie. Nareszcie przychodzi mi do głowy coś sensownego. Złożę wizytę memu rywalowi, a mimo to sprzymierzeńcowi, czyli Chomelowi.

\*

Colette wstała wcześniej rano i poszła po swój samochód. Peugeot zaparkowany przy ulicy des Plantes, w pewnej odległości od eksplozji, zapalił bez problemu.

Pojechała w stronę bulwaru Raspail i zaparkowała za hotelem Lutétia. W położonym opodal magazynie Au Bon Marché kupiła sobie trochę ubrań i walizkę. Musiała jak najszybciej uzupełnić garderobę zniszczoną podczas wybuchu.

Colette bez pośpiechu szła ulicą, zatrzymywała się przed wystawami i w szybach szukała odbicia ewentualnego obserwatora. Znalazła sobie pokój w małym hoteliku koło Vaneau.

Didier trzeźwiał jeszcze, kiedy wymknęła się z domu. Z sympatią pomyślała o tym niedorajdzie i jego sercowych kłopotach. Ale nie miała czasu na rozczulanie się, przecież Marsylczyk był na wolności i krążył po Paryżu.

Włożyła lekką sukienkę. Zapowiadał się ciepły dzień.

Colette zaopatrzyła się w papierosy i usiadła w bistrze położonym nie opodal antykwariatu. Nie był to najlepszy punkt obserwacyjny: widziała stąd tylko zielone odrzwia sklepu Laurence Villars. Nie było tu miejsca, z którego mogłaby widzieć całą ulicę, a jednocześnie zabezpieczyć się przed zagrożeniem z przeciwnej strony. A Marsylczyk nie zostawi jej w spokoju, co do tego nie miała najmniejszych wątpliwości.

Zamówiła trzecią tego ranka kawę.

\*

Montreuil. Wartownik u Fabrette'a pozwala mi wejść na teren zakładów. Od kiedy zawarliśmy porozumienie, Chomel na pewno wydał stosowne rozkazy.

Recepcja. Zostaję telefonicznie zaanonsowany.

Antoine'a nie ma, przyjmuje mnie mój stary przyjaciel Horace, rozparty w fotelu swego szefa.

- Jest pan zdumiony?

- Nie, zdziwiony. Nie rozumiesz pewnych niuansów, tłuściochu.

Mruży oczy. Nie odzywa się. Czekam.

- Czego chcesz, mały?

- Zobaczyć się z twoim bossem. A swoje poufałości zachowaj dla niego, tłuściochu.

Widać, że nie podoba mu się moja odpowiedź. Powtarza:

- Czego chcesz?
- Zobaczyć się z Chomelem.
- Wyjechał.
- Z pewnością w góry.

Mój druh-goryl prostuje się w fotelu.

- Skąd wiesz?
- Powiem ci to we właściwym czasie. Kiedy pan Chomel wraca?

Louis Horace uśmiecha się.

- Czy słyszałeś kiedyś, żeby szef informował pracownika o swoich planach? Nawet gdy są zaprzyjaźnieni?

- Jesteś pewien jego przyjaźni? Nadstawia uszu.
- Co chcesz przez to powiedzieć?
- Och, nic. Pomyśl, to zrozumiesz.

Olbrzym podnosi się z fotela, podchodzi i chwytając mnie za poły kurtki.

- Wyrażaj się jaśniej. Nie lubię insynuacji.
- Niczego nie insynuuję, tłuściochu. Po prostu, kiedy dokumenty, których szukałeś, wpadną w moje ręce, nie chciałbym być w twojej skórze, to wszystko.

Oczywiście blefuję. Ale sądzę, że czasem trzeba zasiać ziarno niepokoju, bo może wydać ciekawy owoc. Tak czy owak w mojej sytuacji... A poza tym dlaczego mnie jednego ma trafić szlag? Sprawa sporna między Chomelem a mną nazywa się Maria.

Bardzo powoli zmuszam Horace'a, by puścił moją kurtkę, rozprostowując jego palce wczepione w materiał.



- Zatelefonuj w moim imieniu do Chomela i powiedz mu, żeby wrócił. Sprawa jest pilna.

Jestem już przy drzwiach, kiedy woła:

- Hej, poczekaj! Powiedz, o co chodzi!

Mogę udzielić mu jednej jedynej odpowiedzi, zwanego odruchem Krymskiego - od nazwiska pewnego rosyjskiego fizjologa, który żył w XIX wieku. To gest znany wszystkim lekarzom. Chory ma pozycję następującą: przedramię zgina nieco w stronę ramienia, palce są przygięte ku wnętrzu dłoni. Uderzenie ścięgna bicepsowego w połączenie ramieniowo-łokciowo-promieniowe powoduje nagłe przygięcie przedramienia do ramienia z równoczesnym wyprostowaniem środkowego palca. W eleganckim języku w Polsce nazywa się to gestem Kozakiewicza. W języku mniej wyszukanim tłumaczy się to na „odpierdol się!”

Wracani do samochodu i biorę kierunek na Gospodę pod Królewskim Węglarzem.

\*

Fernand przekazuje mi wiadomość.

- Pędź do Neurona. Ma dla ciebie informacje.

Neuron mieszka dwa kroki stąd. Sztab generalny czeka na mnie w komplecie. Do grupy dołączył Loïck. Neuron wita mnie szerokim uśmiechem.

- Siadaj. Ofelio, masz głos.

To imponująca facetka. Junona w ruchu. Bogini pełna uroku, mimo swych gabarytów. A poza tym ma

uśmiech, od którego może odtajać cała sterta mrożonek.

- Na pewno się zastanawiałeś, dlaczego tak nagle poderwałam się i wyszłam? - pyta Ofelia.

Czekam. Obecnie nie robię nic innego.

- Kiedy mówiłeś o małej Carole, podsunąłeś mi pewien pomysł. Skojarzyła mi się ze swymi dziadkami ze strony ojca. Powiedziałam sobie, że należałoby przyjrzeć się im bliżej, mimo że wyprawa Neurona i Loïcka okazała się niewypałem.

- Mów jaśniej.

- Popędziłam do Cheneyów. Nie postąpiłam tak jak ci dwaj *macho* i nie przedstawiłam się jako agentka od ubezpieczeń. Nie, ubrałam się w czarną suknię i zjawiłam się tam jako wdowa.

Otwieram szeroko oczy. Loïck i Neuron uśmiechają się.

- Ale dlaczego?

- Cierpliwości. Wiedziałam od Neurona, że stara Cheneyowa to megiera. Ale mało znam kobiet, które, nawet jeśli są megierami, mogą się oprzeć kobiecie przedstawiającej się jako wdowa po ich zmarłym synu.

- Wdowa? Co ty wygadujesz?!

- Och, nie Maria, oczywiście. Przedstawiłam się jako kochanka Frédérিকা. Oto numer, który się podoba matkom. Zjawiam się więc cała w czerni, bez makijażu, toteż wyglądam nieco nieprzytomnie. Postępuję zgodnie z planem i obwieszczam zacnej kobiecie, że jest babcią

uroczego chłopczyka. Najpierw była nieufna, ale potem zgodziła się mnie wysłuchać.

- Ma pani synka z moim Frédérikiem?

Wstydliwie spuściłam oczy i obciągnęłam jak najniższą spódnicę, bo stary patrzył, gdzie wzrok nie sięga. Stara Cheney owa to twarda sztuka, wahała się... Ale wygrałam wyciągając asa atutowego, to znaczy fotografię jej rzekomego wnusia. Rozkosznego, jedenastoletniego cherubinka o wilgotnych oczach i fryzurze à la paż. Stara dama łkała. Wyznaję, że było mi wstyd, ale cel uświęca środki.

Mam mętlik w głowie. Nic już nie rozumiem. Jeszcze słowo i naprawdę uwierzę, że Cheney i ona...

Ofelia rozumie moje zdumienie i wyjaśnia:

- Uspokój się, to zdjęcie mego młodszego brata. Mieszka z rodzicami w Villefranche.

- Co zdobyłaś?

Ofelia podnosi się, otwiera szafę i wyciąga z niej teczkę, którą wspaniałomyślnie mi ofiarowuje.

- Frédéric zdeponował ją u matki w przeddzień śmierci. To niewątpliwie brakujący element układanki, o której wspomniała Maria.

- Otworzyłaś ją?

- Nie. Czekaliśmy na ciebie. Tobie przypadnie ten zaszczyt.

Przyjaciele otaczają mnie kołem. Naciskam na zamek. Z teczki wypada kartonowa okładka. Wydaje mi się za płaska, żeby mogły się w niej zmieścić jakieś dokumenty. Na okładce napisana ołówkiem cyfra 4.

Wewnątrz zwykła kartka papieru z jednym jedynym zdaniem: „Czy znasz taką mrówkę”.

Patrzemy na siebie załamani. W jaskini Ali Baby kryją się tylko puste słowa.

- Znam to zdanie. Carole, córka Cheney'a, śpiewała je z tym obsesyjnym dziecięcym uporem za każdym razem, gdy ją spotykałem. To piosenka dla dzieci.

- Nie - mówi Neuron - to wiersz Desnosa „Czy znasz taką mrówkę”, ze zbioru zatytułowanego *Chantefables et Chantefleurs*.

Nagle w mojej głowie odzywa się jakiś sygnał. Oczywiście znam Desnosa i jego wiersze, ale dzisiaj kicham na poezję; chodzi o coś innego, czego nie mogę sobie przypomnieć.

- Co się z tobą dzieje? - pyta Ofelia.

- Poczekaj...Dziewczynka podśpiewuje sobie coś. A pewien dokument, na pewno niezwykle ważny, zawiera ten sam tekst i nic poza tym. Jak mogłabyś to wytłumaczyć?

- Może to system mnemotechniczny. Ojciec uwielbiający swoje dziecko - a wiemy, że Frédéric był takim ojcem - może użyć dziecięcej paplaniny, żeby wbić sobie coś w pamięć. Wszyscy rodzice to robią, nie zdając sobie z tego nawet sprawy.

- Zgoda, lecz nie to mnie męczy.

- Ale...

Nie jestem w stanie mówić dalej. Każde z nas odczuwa ogromne napięcie. Jesteśmy pewni, że trzymamy jakąś nić, ale nikt nie wie, w jakim kierunku toczy się

kłębek. Chcę coś powiedzieć, mam to na końcu języka. Wiem, że wiem. Zakrawa na absurd, że nie mogę tego z siebie wydusić.

Wyznaczamy sobie spotkanie w Gospodzie pod Królewskim Węglarzem i znów jestem sam. Idę w kierunku Sekwany.

Most Mirabeau.

Przechodzę na drugą stronę rzeki i zagłębiam się w puste ulice. Jest lato. XVI dzielnica żyje w zwolnionym tempie. Wałęsam się bez celu. Wdrapuję się na wzgórze Chaillot i ląduję na pełnym turystów placu Trocadéro. Ciągną tu niczym muchy do miodu: w szortach, dżinsach, autokarami. Są wszędzie; jak zawsze najwięcej Niemców. To jeden ze skutków okupacji. Byli tu ojcowie. Wracają synowie.

- *Ach, Paris! Schôn!*

W oddali Plac Gwiazdy, który staje się dla mnie gwiazdą przewodnią. Orientując się na niego, docieram do alei Kléber. Jakby przypadkiem zatrzymuję się przed kamienicą, gdzie mieści się kancelaria Cheneya. I nagle morze fajerwerków! Przecież to 14 lipca! W tym momencie doznaję olśnienia. Przypadek... Akurat! Wiedziałem, że wiem. Wbiegam po schodach, odpycham zawsze uprzejmą recepcjonistkę i wpadam do gabinetu adwokata.

Janina Forget podnosi głowę, wściekła.

- Mógłby pan pukać...

Bez słowa idę do klitki za gabinetem i obiema

rękami zgarniam książki Cheney'a. Wszystko się wali. Janina Forget patrzy na mnie ze zgrozą.

- Oszalał pan? Czego pan szuka?

Siedząc na podłodze, grzebię w książkach. Wreszcie znajduję tę, o którą mi chodzi. Zbiorek Desnosa.

\*

Południe. Marianna Vasseur, stojąc przed antykwariatem, wyjęła z kieszeni klucz i otworzyła metalową żaluzję.

Colette przeszła przez ulicę. Wsunąwszy dłoń w półotwartą torebkę, zacisnęła palce na kolbie pistoletu Pietra.

Zaskrzypiały otwierane drzwi. Marianna ani jednym drgnieniem twarzy nie zdradziła, że poznaje gościa.

- Czym mogę służyć?

- Zaraz się pani dowie, proszę się nie obawiać.

Pistolet wychynął z torebki i przez pięć sekund celował w lewą pierś Marianny.

- Pójdzie pani ze mną. Jeden nieostrożny ruch i zabiję panią.

Colette pokazała podbródkiem swoją otwartą torebkę.

- Kula bez problemu przejdzie przez ciało. Z tego kalibru można przestrzelić na wylot deskę. Niech pani idzie po mojej lewej stronie.

Marianna zrobiła krok w kierunku drzwi.

- Och, nie tak szybko. Najpierw przeszukamy dom.

Niewielkie, położone na pierwszym piętrze mieszkanie łączyło się wewnętrznymi schodami z zapleczem sklepu.

Colette kazała Mariannie pootwierać szafy i opróżnić szuflady. Ze zdziwieniem stwierdziła, że nic tam nie ma, tylko parę ubrań na wieszakach.

- Gdzie jest Laurence?
- Na wakacjach.
- Wszystko zabrała na wakacje? Gdzie jest?

Marianna milczała. Colette uśmiechnęła się. I wtedy po raz pierwszy Marianna poczuła ukłucie podobne do strachu.

- Bądź spokojna, Marianno, powiesz mi to. Wszystko mi powiesz. Nauczyłam się tej metody od twego kumpla Marsylczyka. W porządku, wychodzimy.

Kobiety szły po ulicy spacerowym krokiem: ot, dwie stare przyjaciółki paplające o byle czym.

- Siądziesz za kierownicą. I pamiętaj, żadnych gwałtownych gestów.
- Dokąd jedziemy?
- Do ciebie, do Saint-Ouen. Ruszaj, ale nie próbuj przekraczać szybkości!

\*

Kiedy dotarły do stoiska na pchlim targu, Colette kazała Mariannie rozebrać się i ta w półmroku zdjęła bluzkę i spódnicę. Mimo upału miała na sobie pończochy i pasek do podwiązek.

- Zdejmij to. Pończochy także.

Z gołymi nogami, w samych tylko majtkach i staniku wydawała się mniejsza, wręcz filigranowa.

- Zatelefonuj do Paula.

Marianna patrzyła na nią pytająco.

- Kto to taki?

Kolba pistoletu Colette wylądowała w samym środku wielkiego zwierciadła w złoconej, drewnianej ramie. Colette wzięła odłamek szkła i podeszła do Marianny. Kawałkiem zbitego lustra dotknęła ramiączka stanika i bez trudu przecięła materiał. Piersi antykwariuszki były opalone, jędrne, apetyczne.

- Zatelefonuj do Paula. Niech tu przyjedzie za godzinę. Powiedz, że wiesz, gdzie jest forsa Pietra.

Marianna zwilżyła językiem suche wargi. Sięgnęła po telefon.

\*

Z zawrotną szybkością przewracam kartki. Janina patrzy na mnie zaintrygowana. Nareszcie, *Chantefables et Chantefleurs*. Zwracam się do sekretarki Cheneya.

- Chodźmy.

Komputer adwokata łypie na nas ciemnym ekranem.

- Czy powie mi pan wreszcie, o co chodzi?

- Tak. Niech pani tu usiądzie. Wskazuję jej komputer.

- Proszę to uruchomić.

Jej oczy błyszczą. Zaczyna rozumieć.



Janina włącza maszynę i czeka.

- Niech pani spróbuje. Kod wyjściowy: „Czy jest taka mrówka: sto metrów długości, kapelusz na głowie, kto mi to powie, kto mi to powie”.

Klops! Nie tylko nikt mi tego nie powie, ale, co gorsza, w komputerze nic się nie dzieje. Nic nie widać. Wyjaśniam Janinie, czego szukam i dlaczego. Kolejna próba i kolejne fiasko.

- Powiedział pan, że na teście była cyfra 4?
- Tak, początek wiersza i cyfra 4.
- Niech mi pan da tę książkę.

Wręczam jej tomik otwarty na stronie z „Mrówką”.  
Janina odlicza palcem.

- Spróbujemy czwarty wiersz.

Jej ręce biegają po klawiaturze: „Czy jest taka mrówka: ma manię wielkości...” Z mojej piersi wyrwa się okrzyk. Udało się! Na rulonie papieru z olbrzymią szybkością pojawiają się litery. Stop! Koniec. Cała sprawa Fabrette'a jest na tych kartkach, na dodatek z piękną niespodzianką. Oto na końcu dokumentu, niczym ironiczne i groźne *postscriptum*, znajduje się biografia Laurence Villars, relacjonująca całe życie tej damy. Tak, mecenas Cheney miał duszę szpicla. Szukajcie, a znajdziecie, powiedziano w Piśmie Świętym. Nie ulega wątpliwości, Frédéric szukał, szperał, węszył, myszkował w łózkach i wychodkach; zapuszczał sondę w serca, łowił w rynsztokach i znalazł... śmierć! Myślę, że rozumiem już wszystko. Trzeba tylko sprawdzić moją hipotezę.

Janina odrywa tekst.

- Niech pani szybko zrobi fotokopie.
- Przecież mamy dyskiety.
- Proszę robić, co mówię, szybko.

Odbija tekst na stojącej w pokoju obok fotokopiarce. Chwytam kartki i wsuwam je do książek telefonicznych stojących w kącie gabinetu. Zostawiam tylko jeden egzemplarz i kładę go na widocznym miejscu na biurku. Janina obserwuje mnie. Podchodzę do niej i całuję ją w usta.

Wydaje się zdziwiona, ale chyba nie ma nic przeciwko temu.

- Często to pana bierze?
- Nie, tylko w dni zwycięstwa. To obniża napięcie.

Tego dnia oboje z Janiną odczuwaliśmy chyba supernapięcie. Nie wiadomo kiedy znalazła się na biurku Cheney'a w pozycji horyzontalnej. Kochaliśmy się. Było dobrze. Czy miało to jakiś związek z bliskością fotokopiarki? Któż to zgadnie, ale jest faktem, że zrobiliśmy to jeszcze raz. To istotnie odpręża.

Janina poczęstowała mnie jakimś trunkiem; w jednym z mebli Cheney miał ukrytą lodówkę. Chwilę się zastanawiam, a potem sięgam po słuchawkę.

- Halo, czy to Louis Horace?

\*

Jeszcze raz czytam tekst Cheney'a. Mój przyjaciel Dubois będzie zadowolony. Ale to jeszcze nie pora, by się przed nim popisywać.

Wszystko odbywa się tak, jak przewidywałem. Pomyliłem się tylko co do jednego: sądziłem, że przyjazd z Montreuil zajmie Josephowi i Horace'owi godzinę, a im wystarczyło czterdzieści minut.

Goryle wpadają do gabinetu. Horace trzyma spluwę, z której można by zabić nosorożca na urządzanym przez prezydenta polowaniu w Rambouillet. Błąd, w polityce nie ma nosorożców, są tylko dinozaury. Horace mówi krótko i węzłowato:

- Dokumenty?
- Proszę bardzo.

Janina podaje mu kartonową okładkę: jest w niej egzemplarz, który zostawiłem na biurku.

- Jak się panu udało?
- Wszystkie dokumenty były tu luzem, pomieszane z rachunkami. Czy Chomel wrócił?
- Tak, będzie na ciebie czekał dziś wieczorem w Milly, wraz z Marią i jej matką.
- Doskonale, teraz jego ruch.

Horace patrzy na mnie wyczekująco, ale pytanie zadaje Joseph.

- Co to ma znaczyć?

I wtedy podpalam lont od mojej pierwszej bomby przeznaczonej dla Antoine'a. Teraz ja prowadzę grę.

- Zawarliśmy z Chomelem pewien układ. Ja miałem mu dostarczyć dokumenty, a w zamian za to on ma mi dać mordercę Frédérika Cheney'a.

Pokazuję na kartonową okładkę i dodaję:

- Poczytajcie sobie, są tu pasjonujące rzeczy.

- Przejrzymy to z Antoine'em - mówi Horace. -  
Ach, jeszcze jedno; oddajcie mi dyskietki.

- Nie - mówi Janina. - Jak bez nich będę mogła zlikwidować akta mecenasa Cheney'a? Kancelarię obejmie jego następca, więc muszę pozafatwiać sprawy będące w toku.

Biedna Janina. Nawet nie spostrzegła, kiedy dostała po buzi.

- Dyskietki...

Sekretarka rozciera sobie policzek.

- Niech pan bierze i won stąd, albo wezwę policję.

Joseph pęka ze śmiechu.

- Tutaj policja to my. *Ciao!*

\*

Barykaduję drzwi do kancelarii jakimś meblem. Z pomocą Janiny wyciągam kartki poutykane w książkach telefonicznych. Dwa egzemplarze chowam w kancelarii. Janina i ja zabieramy po jednej kopii. I ostatni środek ostrożności: wkładam do kopert dwa komplety kartek: jeden dla Loïcka, drugi dla Neurona.

Potem zapalam lont od mojej drugiej bomby. Proszę Janinę, żeby jedną kopertę zaniosiła delegatom związków zawodowych w fabryce. Jej oczy śmieją się za okularami. Obiecuję jej, że jutro będzie już po wszystkim.

Idę na pocztę przy ulicy de Longchamp i wysyłam swoje listy. Janina idzie do metra.

Wszystko kotłuje mi się w głowie. Dużą część sprawy już znam, ale brakuje mi zakończenia. Chcę dostać mordercę Frederika. Musi mi zapłacić za Marię. Zresztą, teraz mniejsza o nią. Ale uspokoję się dopiero wtedy, gdy dowiem się, kto zabił Nyżę.

Mam ochotę na spacer. Wracam nad Sekwanę i przechodzę na drugi brzeg mostem Bir-Hakeim. Rzeka jest czarna. Moje myśli także. Przypomina mi się melodia piosenki, którą nucił Nyża.

*Dans les bouges la nuit,  
Montparnasse à Grenelle,  
Le destin nous conduit  
Vers des amours fidèles\**

\* Poprzez nocne spelunki, od Montparnasse do Grenelle, los nas prowadzi ku wiernej miłości.

Ku wiernej miłości... A Maria... Zbiera mi się na płacz.

\*

Ktoś zastukał w żelazną żaluzję.

Colette otworzyła małe drzwiczki wmontowane w metalowy masyw i zrobiła przejście.

Paul wszedł zgięty we dwoje, żeby nie uderzyć głową o żaluzję. Nie zdążył się wyprostować. Posążek z brązu wylądował mu na karku.

Kiedy odzyskał świadomość, leżał na ziemi zupełnie nagi. Pod plecami czuł chłód betonu. Ręce i nogi miał

rozkrzyżowane, nadgarstki przywiązane do bretońskiej szafy, a nogi w kostkach do dwóch angielskich bibliotek. Był całkowicie unieruchomiony.

Rozpoznał stojącą o metr od niego Colette. W dłoni trzymała odłamek szkła. Wyciągnęła rękę i lśniące ostrze oparło się o brzuch Paula.

- Wszystko mi, mój drogi, opowiesz, wszystko. Podobno gestapowcy uważali, że człowiek mówi szybciej i więcej, gdy jest nagi.

Ręka Colette poruszyła się. Na brzuchu skrępowanego mężczyzny ukazała się purpurowa rysa.

- Jedno kłamstwo, mój drogi, jedno jedyne, a obetnę ci... Zgadnij co?

Szklane ostrze mignęło przed oczami Paula i przesunęło się wzdłuż blizny biegnącej ku jego prawej skroni.

- Nigdy się nie odważysz - odparł morderca.

Jednym chłaśnięciem odcięła mu ucho.

## ***Rozdział XIV***

Colette czeka na mnie przy karafeczce śliwowicy. Jej spojrzenie zmieniło się, jest zgaszone, a zarazem pełne blasku.

Cichym głosem relacjonuje mi, co wyciągnęła z Paula i Marianny. Osłupiałem. Dotychczas nie miałem najmniejszego pojęcia o potędze, jaka tkwi w zwykłym kawałku szkła.

Potem ona chce się czegoś ode mnie dowiedzieć, więc opowiadam jej o znalezieniu dokumentów, dotyczących Fabrette'a i Laurence.

- Sądzę, że teraz wiemy już prawie wszystko. Co zamierzasz zrobić ze swymi więźniami?

- Marianna i Paul poleżą sobie związani i zakneblowani w Saint-Ouen. Nie ulotnią się. Na drzwiach wywiesiłam kartkę: „Zamknięte z powodu urlopu”. Musimy mieć parę godzin na załatwienie wszystkiego, zanim oddamy ich w ręce policji. Antoine i jego akolici będą na nas czekać w Milly. Zatem my zabierzemy ze sobą ekipę z Królewskiego Węglarza. Trzeba skrzyknąć przyjaciół i nareszcie ich dopadniemy. Taką mam przynajmniej nadzieję.

Colette bierze telefon i wykręca jakiś numer.

- Pan Joss Langlois? Tu Colette Chiglione. Czy nasza umowa nadal stoi? Doskonale. Wiem, gdzie są pańskie bibeloty. Jutro się do pana zgłoszę.

Odwiesiwszy słuchawkę, odpowiada na moje pytanie.

- Chodzi o moją wdowią rentę.

W karafce coraz mniej śliwowicy. Czuję palce Colette w swoich włosach. Guziki mojej koszuli odpinają się jeden za drugim. Jeszcze nigdy nie czułem na ciele tak gorących rąk. Aż huczy. Istna burza.

Pomimo wcześniejszych wyczynów z Janiną wypa-  
dłem nieźle.

\*

Minuta prawdy. Przyjaciele czekają na mnie pod Królewskim Węglarzem. Zabieram Colette i Loïcka. Neuron i Ofelia wsiadają do swego auta. Neuron pokazuje mi, że w wewnętrznej kieszeni kurtki ma obcięty kij baseballowy. To imponująca broń w ręku byłego skauta, a obecnie profesora literatury. Czy powiedziałem już, że czasem nazywamy go Cwaną Kozicą? Twierdzi, że używa swego kija wyłącznie do wbijania poezji do głowy leniwym uczniom.

Milly.

Colette wypatrzyła automat telefoniczny.

- Poproszę naszego ulubionego komisarza Dubois,



żeby zajął się moimi przyjaciółmi z „Dzieł Sztuki i Bi-  
belotów”. Oczywiście nie powiem mu, kto mówi.

\*

Drzwi otwierają się po pierwszym naciśnięciu  
dzwonka.

Wydaje się, że Laurence jest zaskoczona, widząc, iż  
nie jestem sam.

Maria krząta się wokół tacy zastawionej kieliszkami  
i butelkami. Wrażenie nierzeczywistości. Przychodzę,  
żeby zabić, a trafiam na wieczorek towarzyski.

Laurence, która ciągle wygląda jak luksusowa mo-  
delka, wskazuje nam krzesła, ale nikt nie siada. Ręka  
Neurona tkwi w kurtce, torebka Colette jest uchylona, a  
ja czuję dotyk colta na biodrze.

Oparta plecami o kominek, Maria kontempluje  
czubki swych pantofelków.

Działania wojenne rozpoczyna Laurence.

- Przystąpmy od razu do rzeczy. Didier Valois, od-  
nalazł pan dokumenty zebrane przez mego zięcia. Bra-  
wo! Myślałam, że jest pan głupszy - rzuca okiem na  
okolony brylantami zegarek, który nosi na lewej ręce. -  
Chomel się spóźnia, ale zgodzi się na to, co wam zapro-  
ponuję. Maria, Antoine i ja wyjeżdżamy z Francji. Mecz  
remisowy, zaczynamy nowe życie i każdy startuje od  
zera.

Zastanawiam się, czy to sen, czy jawa.

- Co dostaniemy w zamian? A te cztery trupy - co

macie zamiar z nimi zrobić? Oddać na przechowanie do działu depozytów?

- Spisujemy je na straty. Co dostaniecie w zamian, pyta pan? To proste. Całą winę zrzuci się na Horace'a i Josepha, Antoine już się o to postarał. Te dwa indywiduala zostaną usunięte z obiegu, to wszystko. Gliny będą uszczęśliwione, środki masowego przekazu podniosą krzyk radości. Czego pan chce więcej?

Niczego. Chcę zrozumieć.

Podchodzę do kominka. Biorę Marię za rękę i ciągnę do stołu zastawionego kryształami. Zmuszam ją, by podniosła głowę i spojrzała mi w oczy. Spodziewam się jakichś przeprosin. Nadzieja matką głupich, jak mówiła moja matka. Spada na mnie grad obelg, które wywołałyby rumieniec nawet w burdelach Bangkoku.

Ofelia stara się przywrócić spokój i zwraca się do Laurence.

- No, Laurence, przegrała pani. Proszę nam wszystko opowiedzieć.

Piękna antykwariuszka nie trzyma już fasonu. Na jej twarzy widać prawdziwy lęk, a pod makijażem zmarszczki.

- Czego pani chce?

- Żeby nam pani wszystko opowiedziała. Wszystko!

I znów rzut oka na zegarek. Jest już dwadzieścia po ósmej i niepokoi ją nieobecność Antoine'a.

Jeśli mój plan się powiodł, właśnie o tej porze eksplodowały moje bomby.

Laurence wypija swego drinka i mówi do mnie:

- Przegrałam, zapłacę, ale nie wciągajcie w to Marii.

- Przysłowie z Quercy: „Dupa zobaczona nigdy nie jest stracona”. Niech pani najpierw pokaże, chcę wiedzieć, co kupuję.

Loïck wybucha śmiechem.

- Przepraszam, to nerwy.

Laurence wydaje się zbита z pantałyku. Maria zaciska zęby. Znam ją zakochaną, czułą, uległą duszą i ciałem. Teraz zmieniła się w jędzę, córkę godną swojej matki.

Laurence zaczyna mówić, a ja zdaję sobie sprawę, jakim byłem głupcem, ja, Jego Wysokość Didier I, król idiotów.

- Cheney sam był sobie winien, bo to on przedstawił Antoine'a Marii, a potem bardzo szybko stanął na przeszkodzie ich miłości. Tak się miały sprawy, kiedy JAF i Antoine pokłócili się o interesy. Władza + Rywalizacja + Pieniądze = Śmierć. To równanie stare jak świat. Uczą go w każdej szanującej się policyjnej szkole. Antoine zaproponował JAF-owi, że odkupi jego udziały. Kiedy tamten odmówił, poprosił Horace'a żeby zatrzał jego współnikowi życie. Horace zaczął od tego, że obaj z Josephem celowo uszkodzili most, którego wykonawcą był JAF. W rezultacie trzy osoby straciły życie.

- Dwanaście... nie trzy.

- Zgoda, ale dziewięć pozostałych to tylko czarnuchy.

Ręka Neurona sięga do kieszeni kurtki. Łapię go za mankiet.

Laurence opowiada dalej.

- JAF nie jest głupi, zwraca się do Cheney'a z prośbą, żeby to wyjaśnił. I bardzo szybko Frédéric odkrywa prawdę. Zaczynają się targi. To może drogo, bardzo drogo kosztować Antoine'a. Podejmuje więc błyskawiczną decyzję, że trzeba wykończyć JAF-a.

Przerywam jej spowiedź. Czytałem już dokumenty.

- Kto zabił Fabrette'a?

- Horace. Antoine sądził, że śmiercią jego współnika nikt się nie przejmie. Zapomniał o Frédéricu. Zacobonny adwokat był przywiązany do Fabrette'a, uważał, że przyniósł mu szczęście. Cheney poszedł do Chomela i dał mu do wyboru: zatuszuje sprawę Fabrette'a, jeśli Chomel wyrzeknie się Marii. I Chomel, postawiony pod murem, zgodził się.

Laurence zapala jednego ze swych obrzydliwych papierosów ze złotym ustnikiem.

- Moja córka jest idiotką. Żadna kobieta nie powinna uzależniać się od samca, nawet jeśli szaleje z miłości.

Maria podnosi głowę, spogląda na matkę i szepce:

- Ty naprawdę nigdy niczego nie zrozumiesz.

Laurence kontynuuje swą opowieść.

- Kiedy Maria i Didier znowu się spotkali, zobaczyłam w tym znak niebios i poddałam Marii myśl, by odwróciła podejrzenia Frédérica, nawiązując romans

z tym aktorzyną. Przez jakiś czas wszystko szło jak z płatka. Maria zaproponowała Frédérikowi rozwód. Pod jakim pretekstem? Że chce wyjść za Didiera, co oczywiście było nieprawdą.

Zaciskam pięści.

- Ale Frédéric nie wyraził zgody. Chciał, żeby Carole miała rodzinę, nawet gdyby to była rodzina tylko na pokaz. W ten sposób podpisał na siebie wyrok śmierci. Pozostawało tylko znaleźć mordercę.

Nie było mowy, żeby nasłać na niego goryli. Potrzebny był ktoś nie mający nic wspólnego z Chomelem.

Teraz odezwała się Colette.

- I znalazła pani króla nicponi, Pietra, mego męża?

- Tak, ale on nie był nicponiem, tylko hazardzistą. Uważałam Pietra za człowieka w porządku. Mordercą został wyłącznie ze strachu przed swym współnikiem Marsylczykiem. Najpierw odrzucił moją ofertę zlikwidowania Cheneya. Miał sporo pieniędzy, gdyż zapłaciłam mu całą sumę za rzeźby Wallis Brenton, oczywiście wraz z częścią należną Paulowi. Pietro zgodził się na mokrą robotę dopiero wówczas, gdy wszystko przegrał w ruletkę.

W twarzy Colette nie drgnął nawet jeden mięsień. A ja przypomniałem sobie jej opowieść o tym, co można zrobić za pomocą odłamka szkła.

- Właśnie wtedy Didier wmieszał się w coś, co nie powinno go obchodzić. Przeszkadzał mi, więc nasłałam na niego mężczyznę z prawdziwego zdarzenia, żeby go uspokoił.

- Marsylczyka? - pyta Colette.

- Zna go pani?

Colette milczy nieprzenikniona. Laurence znowu zaczyna mówić.

- Ten bałwan pomylił się i poturbował tego pana...

Zapalonym papierosem pokazuje na Loïcka.

- Wszystko więc układa się jak najlepiej. Cheney nie żyje, a tych dwoje głuptasków, Antoine i Maria, będzie się kochać po wieczne czasy... albo do końca miesiąca. Któż to może wiedzieć, z miłością nigdy nie wiadomo! Ale oto... Pietro znów zasiada do gry, traci wszystko, co mu zapłaciłam za sprzątnięcie mego zięciulka, i popełnia największy błąd swego życia: zaczyna mnie szantażować.

Z założonymi rękami, z podniesioną głową przekształca się w hidalgę płci żeńskiej. Brak jej tylko Rosynanta i szpady. Ona także jest świetną aktorką, ma w sobie wystarczająco dużo szaleństwa, by zagrać Antigone. Po wygłoszeniu pięknej tyrady wraca do opowieści:

- Nastałam więc na niego Marsylczyka. Wiedziałam o jego sporze z Pietrem, który przegrał w kasynie część łupu należącą do Paula. Byłam pewna, że Pietro nie wyjdzie żywy z jego rąk.

- Dlaczego goryle mieli nadzieję, że dokumenty znajdą u mnie? - pytam.

- Chomel nikomu nie ufał, podejrzewał, że Maria może grać na dwie strony. Nasz błyskotliwy absolwent szkół wyższych nigdy nie szedł na żadne ryzyko. Mimo

że zakochany, patrzył na sprawę trzeźwo.

Zastanowiłem się, czy tego również uczono go na studiach.

- Kto zabił Nyżę?

- Horace. Antoine kazał go sprzątnąć, żeby nie było żadnych świadków. Stary niepotrzebnie gadał o samochodzie.

- Dlaczego Charlotte Corday?

Laurence zaśmiała się tak, że wszyscy aż podskoczyliśmy.

- To nie ma nic wspólnego ze sprawą. Prowadzę antykwariat tylko dla zachowania pozorów. Kiedy ktoś do mnie telefonował, że ma towar do upłynnienia, wolałam, żeby korzystał z numeru mojej sąsiadki. Przecież istnieje coś takiego jak podsłuch, a gliny nie mają żadnego zmysłu moralnego.

Nie mogę powstrzymać się od podziwu dla jej zmysłu moralnego. Laurence ciągnie dalej:

- Moja propozycja jest następująca... Horace i Joseph w zamian za naszą wolność.

Nie mogę już znieść jej arogancji.

- Wykluczone. Zapomniała pani o czymś, Laurence Villars. O tym, że pani zięć miał bzika na punkcie zbierania materiałów obciążających. A jestem przekonany, że wiedziała pani, iż na pani temat zgromadził ich mnóstwo, i właśnie to się stało prawdziwą przyczyną jego śmierci. To jest pani sprawka, Laurence, wyłącznie pani.

Zmienia się na twarzy.

- Do tych materiałów również pan dotarł? Nikt nie wiedział o ich istnieniu.

- Tak, mam je. Jest tam całe życie Véronique Favier, która dzięki małżeństwu przeobraziła się w Laurence Villars, ale przedtem była oszustką i fotomodelką. Dzięki tym dokumentom Frédéric trzymał panią w garści. Gdyby Maria wystąpiła o rozwód, mecenas Cheney wyciągnąłby swoje papiery, w tym dane dotyczące pani karalności, i to za co! Byłoby to istne trzęsienie ziemi... Dziewięć w skali Richtera! Frédéric mógł panią w każdej chwili zniszczyć. Oczywiście nie wahała się pani ani chwili między fizyczną śmiercią Cheney'a a własną śmiercią towarzyską. To pani kazała go zabić.

Ledwo udało mi się uniknąć jej pazurów.

- Niech pani da spokój, Laurence, to już nie ma sensu. Gra się skończyła. Resztę życia spędzi pani za kratkami.

- Tak pan sądzi?

Nikt z nas nie zdołał temu zapobiec: błyskawicznym ruchem wyciągnęła zza dekoltu pistolet i włożyła lufę w usta.

Głowa rozprysła się na kawałeczki.

\*

Spotykamy się wszyscy w biurze komisarza Dubois. Moje bomby eksplodowały. Fabryka ogłosiła strajk.



Twardy strajk, w którym tym razem straż trzymają żony strajkujących.

Sprawy Chomela zaczynają się układać. Przeżyje leczenie, zaaplikowane mu przez Horace'a, ale będzie sparaliżowany do końca życia. Maria będzie mogła się nim zająć, kiedy za jakieś dziesięć, piętnaście lat wyjdzie z więzienia. To była moja druga bomba. Po przeczytaniu materiałów, które mu dostarczyłem, Horace zaczął się w biurze na Antoine'a. Bez jednego słowa - jak wiadomo z relacji sekretarki, która była świadkiem całego zajścia - chwycił Chomela i wyrzucił go przez okno. Horace i Joseph ulotnili się.

- Wkrótce ich złapiemy - mówi Dubois. - My, gli-niarze, nie jesteśmy geniuszami, ale nie mylimy cierpliwości i długości czasu.

Nie jestem tego taki pewny. Te bydlaki znajdą robotę. Tylu ludzi potrzebuje ochroniarzy, zwłaszcza ci, co chodzą do psychoanalityków. A jest ich mnóstwo, prawda?

Dubois pyta:

- Chciałbym się jednak dowiedzieć, kto mnie zawiadomił, że Marianna Vasseur i Paul Bonal są w Saint-Ouen?

Jego oczy zatrzymują się na każdym z obecnych. Nikt nie reaguje.

- Zdumiewające! Marianna spędzi dłuższy czas w szpitalu psychiatrycznym, natomiast Paul Marsylczyk, twardziel nad twardziele, nie przestaje popłakiwać

i powtarzać: „Nie, nie rób tego! Nie, zostaw to...” Myśle, że jest to aluzja do pieniędzy, które roztrwonił Pietro. Od trzydziestu lat pracuję w policji i nigdy jeszcze nie widziałem kogoś tak załatwionego. Zdumiewające, doprawdy.

Colette nie podnosi oczu i żegna się znakiem krzyża.

\*

Gospoda pod Królewskim Węglarzem.

Duży stół, a przy nim cała nasza paczka. Martwy Byk i Janina są z nami również, podobnie jak Renegat i Jean-François. Jedno krzesło jest puste: to, na którym siedziałby Nyża. Cécile roni łzę. Fernand napełnia kieliszki.

Jemy danie, które jest specjalnością firmy, wołowinę po prowansalsku, zakrapianą winem. Dobry Boże! To pomaga na wiele rzeczy. Wpływa także na poziom naszego morale. Staram się przestać myśleć o Marii.

Colette zapowiada, że wkrótce wyjeżdża do Honfleur. Towarzystwo ubezpieczeniowe wypłaciło jej obiecaną premię. Jeszcze jedna niespodzianka! Okazuje się, że skradzione rzeźby były ukryte w posiadłości Lei, ognistego rudzielca. Nic mnie już nie zdziwi, zachowuję spokój nawet wtedy, gdy Loïck oświadcza, że wyprawdza się od żony.

- Nie mogę już znieść architektury, pojmujesz. Basta! Na moim piętrze zwolniła się kawalerka. Będę tam

mieszkał, kiedy Margot będzie odrabiała swoje ćwiczenia praktyczne.

Fernand intonuje swoją ulubioną piosenkę i cały stół śpiewa chórem:

*Quand j'vois des filles de dix-sept ans,  
Ça m'fait penser, qu'y a ben longtemps,  
Moi aussi, j' l'ai été d'moiselle,  
A Grenelle,  
A Gre-nai-ai-leu!\**

\* Kiedy widzę siedemnastoletnie dziewczęta, przypominam sobie, że i ja byłam bardzo dawno temu panienką z ulicy Grenelle.

Ogarnia nas melancholia. Łoick napełnia kieliszki.

Szum informacyjny. Wiadomości radiowe. W Lyonie odwołano stan oblężenia. Wreszcie otwarto tunel Fourvières dla ruchu kołowego.

Neuron wznosi toast za Nyżę. Wszyscy wstają i piją. Znow położymy się wcześniej spać... jutro rano.

\*

Nazajutrz... Samochód czeka z włączonym silnikiem.

Ściskam Colette i życzę jej szczęśliwej drogi. Wczesnym rankiem jej twarz wydaje się całkiem spokojna.

- Przyjedź do mnie, jeśli zechcesz - mówi - będę na ciebie czekać.

- Przyjadę - obiecuję.

Nie powiedziałem tylko, kiedy. Znów przypomina mi się szklane ostrze. Brr... Robi mi się zimno.

Colette rusza.

Obrazy nakładają się na siebie, z mgły wyłania się kancelaria, a w niej Janina Forget. Słysząc jedwabisty szum fotokopiarki... Lubię to. Idę w stronę nabrzeża, ku cichej Sekwanie.